AS

Nr. 47
21 LISTOPADA 1937
CENA 40 GROSZY



NOC WSPOMNIEŃ

Betty Davis, laureatka międzynarodowej wystawy filmowej w Wenecji

WANDA KIESZKOWSKA

EMIR RZEWUCHA

SZKIC HISTORYCZNY

Najulubieńszą, najbardziej znaną i najpopularniejszą postacią z przeszłości Polski był niewątpliwie zarówno w dawnych czasach, jak i dziś jeszcze, Wacław Rzewuski.

Postać ta, owiana niezwykłym urokiem poezji, natchnęła Mickiewicza i Słowackiego do napisania przepięknych rymów i przewija się i w dzisiejszej literaturze jeszcze, odpowiednio stylizowana, idealizowana, apoteozowana.

Jak bardzo znanym był Rzewuski w owych czasach, wnosić możemy stąd chociażby, że każdy ze współczesnych pamiętnikarzy, który ujrzał go najbardziej przelotnie nawet, notuje skrzętnie tę wiadomość, uzupełniając ją całym szeregiem złośliwych lub entuzjastycznych wersyj, krążących o tym niezwykłym dziwaku. Dziś, sto lat dzieli nas już od tajemniczej śmierci Farysa. Z tej odległości czasu możemy spojrzeć bezstronniej i jaśniej na jego postać i ocenić go sprawiedliwiej, niż to czynili jego współcześni, którym zdrowy sąd o nim zaćmiewały zapewne zawiść, urazy osobiste lub zaślepiony, bezkrytyczny zapał.

Posiadał Rzewuski niewątpliwie zadatki na wybitną jednostkę i to w każdym niemal kierunku. Umysł miał jasny, bystry, szeroki i wszechstronne uzdolnienia. Pomijając już wysokie urodzenie, mienie i żelazne naprawdę zdrowie, które to czynniki znakomicie przyczyniają się do ułatwienia każdej karjery życiowej, jakbyśmy dziś powiedzieli, posiadał on moc talentów, które same przez się mogły mu zapewnić świetną przyszłość w każdej dziedzinie, w jakiej zechciałby się doskonalić. Brakło mu, niestety, jakiejś spójni, łączącej i wiążącej ze sobą harmonijnie wszystkie talenty duchowe i umysłowe i skierowującej je ku właściwemu celowi. I to właśnie sprawiło, że mogąc zostać jedną ze świetniejszych gwiazd na firmamencie polskim, był tylko przelotnym meteorem. A talentów miał, jak powiedziałam, moc. Świetny lingwista (znał doskonale siedem języków europejskich, nie licząc w to greki i łaciny — oraz języki wschodnie), niezwykle uzdolniony matematyk, erudyta, dziejopis, muzyk, poeta, malarz, polityk, wojownik, niezmordowany tancerz, mistrz w szermierce, jeździec niezrównany, — był Rzewuski wszystkiem i niczem, typowym okazem genjalnego dyletanta, polskim „genjuszem bez teki“ Tworzył więc opery, malował bitwy, pisał poematy, w każdej dziedzinie coś robił, każdą poznawał, w każdej pracował, — w żadnej nie pozostawił po sobie nic trwałego, a choć każdym fibrem duszy i ciała dążył do wybicia się ponad codzienność życia, do niezwykłości, z całej jego istoty nie zachowało się nic i nic nie przeszło do potomności, prócz złotej legendy chyba.

Niespokojny duch pędził go z miejsca na miejsce, nie dając nigdzie spocząć, nienasycona żądza przygód, nieokiełznana fantazja czyniła jego życie tajemniczem, nieuchwytnem, a błyszczącem i migotliwem nakształt błędnego ognika, przydając mu jeszcze uroku. Imię Wacława Rzewuskiego już za życia było otoczone żywą legendą.

Rzućmy choć pokrótce okiem na te niezwykłe losy.

Pierwsze znamiona pociągu do wschodu odkrył i rozdmuchał w młodym Rzewuskim pewien uczony iman, umykający przed niełaską sułtana, a który znalazł gościnę w Sawraniu. On też pierwszy uczył go języków wschodnich, odkrywał przed nim tajemnice Wschodu.

Ukończywszy świetnie we dwa lata akademję wojskową w Wiedniu, gdzie uzyskał pierwszą nagrodę wraz z tytułem inżyniera górnika, wstąpił Rzewuski do wojska i został przez rząd austrjacki przeznaczony, ze względu na świetną znajomość języków, do ekspedycji naukowej na Wschód. Wymarzona ta podróż nie doszła wszakże do skutku, gdyż poznał w tym czasie, podczas wojażu po Europie, młodziutką Rozalję Lubomirską, córkę ściętej na gilotynie w Paryżu za czasów terroru wojewodzicowej kijowskiej, w której się tak bardzo zakochał, że przesłoniła mu ona nawet na pewien czas ukochany Wschód, a którą też w parę lat potem poślubił. Niedługo wszakże trwała sielanka. Po kilkunastu latach niezbyt zgodnego pożycia, żona zamieszkała w Wiedniu, oddając się wychowaniu synów, nieokiełznany zaś małżonek przebiegał złociste pustynie Arabji, szczęśliwy, że spełniło się wreszcie marzenie jego życia, biorąc udział w walkach krajowych i wszystkich awanturach, których mu życie stepowe nie szczędziło. Za niezwykłą waleczność w bitwach, w których brał udział jako prosty ochotnik, otrzymał tytuł Emira Al-Omrach, nadawany tylko potomkom Kalifów, co ród swój od proroka wywodzą, do którego przydano mu nazwę Mirza Tadż-el-Faher i wiele innych.

Po kilku latach i niezliczonych przygodach oraz przeróżnych kolejach losu, (był nawet podobno czas jakiś wielkorządcą Bagdadu), powrócił wreszcie Rzewuski ze stadem arabskich koni, z taborem, obozem, całą karawaną słowem, do ukochanego Sawrania, z ostrzyżoną krótko głową i prześliczną jasno blond z miedzianym odcieniem brodą, dla której zwano go potem Emir Zołotaja Boroda. Przybywszy do kraju, nie zmienił swego trybu życia, układając go według dziwnej mieszaniny zwyczajów polsko-szlacheckich z obyczajami kozackiemi i arabskiemi. Z rodziną nie żył. Żona uważała go za warjata i za takiego głosiła przed światem, synów prawie nie znał, nawet matka, podburzana wciąż przez obcych, odwróciła się przy końcu dni swoich od ukochanego niegdyś syna. Tak więc przez bujne swe, barwne życie szedł Emir sam, zawsze sam.

Mając wrodzoną skłonność do ascezy, żył też Rzewuski bardzo skromnie, nie rozpieszczając zahartowanego jak stal ciała żadnemi wygodami. Siodło służyło mu za poduszkę, kołdrę zastępował chałat turecki, zamiast na łóżku wyciągał się na ziemi, skórą końską przykrytej. Za pożywienie służyła mu kasza jaglana, ryż, baranina po arabsku i kawa. Codzienny jego ubiór stanowił biały, szeroki burnus i biały turban z zielonemi frendzlami, oznaczającemi godność emira. Na większe uroczystości przywdziewał strój stylowy, więc biały, karmazynowy lub różowo nakrapiany kaftan bez rękawów i szerokie szarawary tureckie oraz zielony zawój, spięty pośrodku wielkim szmaragdem.

Jak w dalekich stepach, tak też i w Sawraniu, rządził się Rzewuski tylko fantazją. Czasem spraszał tłum gości, podejmował ich gościnnie, częstował potrawami wschodniemi, które zresztą mało kto przełknąć zdołał; na prośbę zaproszonych naśladował modlącego się araba, siadał do fortepinu i ładnym głosem śpiewał francuskie i włoskie romanse, lub też z niezwykłym talentem bawił zebranych opowiadaniem swych przygód, których słuchano z równym zawsze zajęciem, chociaż wiedziano dobrze, że niejedna z nich została zmyślona, niejedna zaś tak ubarwiona, że zgoła do prawdy niepodobna.

To znów ze stadem, obozem, ze świtą wyruszał w odwiedziny do sąsiadów, pod których oknami rozpinał namioty, lub błądził z całą karawaną po stepach i lasach w poszukiwaniu jakiegoś ukrytego skarbu. A trzeba wiedzieć, że poszukiwanie złota stanowiło jego manję. Aleksander Jełowicki, znający go dobrze, jako bliski sąsiad, mówił z pobłażliwą ironją, że nie mogąc się dogospodarować złota, chciał się przy przynajmniej dokopać.

Lecz przychodziły dnie, w których Emir, siedząc godzinami po turecku na tygrysiej skórze, ćmił lulkę, pił kawę arabską, przesuwając bursztynowe paciorki i słuchając w milczeniu kozaczków, przygrywających na teorbanach i śpiewających dumki ukraińskie. W takich chwilach nie chciał nikogo widzieć. Jeżeli zaś jaki niewczesny gość domagał się natrętnie widzenia z gospodarzem, wówczas wolny nasz Farys, nie znoszący wszelkiego przymusu i nienawidzący utartych szablonów, zjawiał się grzeczny i uprzejmy, ale tak mroczny, ponury i chłodny, jak burza gradowa, że nieproszony gość czemprędzej opuszczał jego progi.

Z natury był zresztą Rzewuski bardzo wesoły, towarzyski i gościnny. Młodzież za nim szalała. Jeszcze w czasie podróży poślubnej, podczas której zahaczył o Krzemieniec, nawiązał serdeczne stosunki z uczniami liceum, jakoże lubił otaczać się młodzieżą. Był też gorliwym pomocnikiem Czackiego, który mianował go honorowym członkiem rady szkolnej. Wielu niezamożnych uczni wspomagał pieniężnie, tak dyskretnie wszakże, iż nikt o tem nie wiedział Często też zapraszał młodzież do siebie i gościł. Utrzymywał również stosunki towarzyskie z profesorami liceum, z którymi toczył uczone dysputy. Obecność jego przyczyniała się bardzo do ożywienia życia w Krzemieńcu.

W wielu ówczesnych pamiętnikach znajduje odbicie słynny wjazd Rzewuskiego na górę Królowej Bony. Góra ta jest niezwykle stroma, spadzista, z wierzchu porośnięta lasem. Dość swobodnie można się było dostać na jej wierzchołek drogą okólną. Lecz Rzewuski uparł się, że wjedzie konno wprost pod górę. Tłumy zebrały się u jej stóp, śledząc z biciem serca każdy ruch szalonego jeźdźca. Kiedy stanął wreszcie na szczycie, wzbiła się w górę burza oklasków i wiwatów. Lecz przedsięwzięcie nie było jeszcze skończone. Zejście było znacznie bardziej niebezpieczne, niż samo wspinanie się. Entuzjastyczna młodzież ofiarowała się konia i jeźdźca znieść na dół z tej karkołomnej góry. Obeszło się wszakże bez tej ofiary. Krok za krokiem, wrośnięty zda się w konia, w którego przelał wszystkie swe instynkty i władze, zjechał Rzewuski szczęśliwie, bez wypadku

Już w czasie podróży poślubnej począł się Rzewuski skłaniać do kozaczyzny. Odżyły wspomnienia lat dziecinnych, spędzonych wśród szerokich stepów ukraińskich. Pociąg ten wzrósł jeszcze po poprocie ze Wschodu, gdy przybladły już nieco wspomnienia orjentalne. Obok wschodnich szat, począł nosić strój kozacko-polski, otaczał się świtą kozaków, ród swój wywodził od kozaka Rzewuchy i podpisywał się Ataman Rzewucha Zołotaja Boroda lub Farys Rzewucha Złotaja Boroda. Po powrocie do kraju pogłębiła się jeszcze bardziej jego przyjaźń z Tymkiem Padurrą, zawarta równie w czasie podróży poślubnej, kiedy Padurra, który później jako dziad lirnik całą Ukrainę pieszo przebiegał, był uczniem liceum krzemienieckiego. Rzewuski dziwnie się dopasował z młodym poetą i polubił go serdecznie, jako też i jego smętne, żałosne dumki, do których sam melodje układał. A muzykiem był podobno nielada. Jego „Requiem“, napisane na śmierć Czackiego, było bardzo cenione w swoim

Dokończenie na str. 10.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 47 **Niedziela, 21 listopada 1937** **Rok III**

Nowomianowani oficerowie Armji polskiej, złożyli hołd na zamku Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej, prof. Ignacemu Mościckiemu. Po przyjęciu hołdu, Pan Prezydent podejmował w swoim gabinecie Naczelnego Wodza Armji, marszałka Śmigłego-Rydza, oraz wyższych dostojników wojskowych (na zdjęciu). Fot. „As"

„Jakkolwiek baldachim czy sufit znajduje się nad łóżeczkiem dziecka, w oczach jego odbija się zawsze — niebo..." — powiedział Victor Hugo. Nie trzeba być poetą, aby wyczuć, ile najczystszego piękna i wzruszającego uroku mieści się w wyrazie oczu dziecka, w całej jego postaci. Nie było epoki i kraju, któraby pozostała na urok ten obojętna. W najstarszych religjach świata przewija się prastary motyw Boga, w postaci dziecięcej, schodzącego między śmiertelnych. W starożytności najpiękniejsze i najpotężniejsze uczucie ludzkie — miłość, czczono w małym, swawolnym Erosie... Religja chrześcijańska i jej bogata ikonografja kultowa dała ludzkości Boskie Dzieciątko, u którego stóp kłonią się najstarsi i najmędrsi...

Wielki ruch Odrodzenia, który tak głęboko przeorał psychikę człowieka i położył podwaliny pod naszą współczesną kulturę — pendzlem swych malarzy i piórem poetów wielbi urok i nieskażone piękno wieku dziecięcego. Rozkoszne niemowlęta della Robbii na Ospedale Maggiore we Florencji, pucułowate, złotowłose putta zaludniające na freskach kościoły i pałace renesansowe, boskie Dzieciątka, tulące się ufnie w ramionach słodkich Madonn Rafaela czy Belliniego, czarnowłose bambina i promienne aniołki — to wszystko studja dziecka w najróżnorodniejszych postaciach.

W epoce renesansu pojawia się też po raz pierwszy portret dziecka — traktowany naturalistycznie, z wnikliwą obserwacją charakteru modela. Ale te renesansowe dzieci nie wydają się nam szczęśliwe. Zadanie ich główne — to być dekoracyjne i piękne. Zrozumienie ich natury i potrzeb, jeszcze nie doszło do głosu. Dorośli traktują je jak miniatury ludzkie, zmuszając je do naśladowania dorosłych i „dociągania" się do ich trybu życia. Widzimy to choćby w strojach dziecięcych tej epoki. Maleństwa wtłoczone w sztywne brokaty, w złotem lite szaty sięgające im aż do stóp, w ciężkie czepce przygniatające ich maleńkie główki — wydają się nam dziś żałosnemi ofiarami. Czyż można dzieckiem nazwać smutną i bladą infantkę Marję Teresę z portretu Velasqueza? Dumna i wyprostowana dziewczęca figurka, zesznurowana w stanie, obarczona sztywną wspaniałą krynoliną — przejęta ważnością swej roli i dostojeństwem królewskiego pochodzenia — czyż to nie karykatura dziecka? Porównajmy ją choćby z małą Betty, następczynią tronu Imperjum Wielkiej Brytanji — ulubienicą narodu angielskiego. Wesoła i swobodna, pełna dziecięcego wdzięku i prostoty, nie różni się niczem od rówieśników skromniejszego pochodzenia. Nie zaniedbując jej wychowania i wykształcenia, niezbędnego dla przyszłej władczyni, pozostawiono jej jednak pokój dziecinny wraz z jego radościami i zabawami, przystosowanemi do jej wieku. Choć ciężar władzy i odpowiedzialność wyda jej się kiedyś może trudny do zniesienia, dziś jest jeszcze tylko radosnem i beztroskiem — dzieckiem.

W renesansie było inaczej. Dziecko było niejednokrotnie zabawką — przypłacającą nieraz zdrowiem i życiem tę swoją rolę. Znany jest wypadek, który zdarzył się na dworze Medyceuszów florenckich: w wspaniałych uroczystościach dworskich wzięły udział i dzieci, nagie, całe pozłocone, odgrywające rolę amorków. Maskarada ta, okrutna i bezmyślna, skończyła się śmiercią kilkorga z nich, naskutek zatrucia i zatkania porów skóry pozłótką.

Długo jeszcze nie umiano wczuć się we właściwą psychikę dziecka i zrozumieć potrzeb jego wieku. Gdy śledzimy portrety i studja dzieci z dawniejszych epok, widzimy, jak często fałszywie pojmowano ich wdzięk. Przesłodzone i sentymentalne dziewczątka Greuze'a rażą nas dziś sztucznością i nieszczerością wyrazu. I tylko wyjątkowi mistrze, jak Rubens, potrafili oddać dziecko z całym jego czystym wdziękiem, bez upiększeń i zmanierowanego sentymentalizmu.

Dzisiejsza epoka może być śmiało nazwana epoką dziecka. Nigdy w historji nie spotykamy takiego zainteresowania się losem dzieci, co dziś. Wszelkie gałęzie wiedzy, począwszy od medycyny i higjeny, skończywszy na psychologji i pedagogice, współpracują zgodnie nad tem, aby poznać istotę dziecka, wniknąć w tajemnice jego psychicznego i fizycznego rozwoju, służyć jego zdrowiu i przygotowywać go należycie do życia. Genjalne odkrycia Freuda z dziedziny psychologji wieku dziecięcego wyjaśniły nam wiele zagadek i zwróciły uwagę na głębokie znaczenie i wartość dziecięcych przeżyć. Dzięki badaniom jego i jego następców, wiemy dziś, że dzieciństwo to nie idylliczna sielanka aniołków, lecz ważny i dramatyczny okres, w którym wykuwa się cała przyszłość człowieka. Że warunki rozwoju i wpływy otoczenia w tym właśnie okresie najdonioślejszą grają rolę, żłobiąc w podatnym gruncie wrażliwej psychiki dziecka głębokie ślady, niełatwo dające się zatrzeć w późniejszym jego rozwoju. To też współczesna psychologja apeluje do rodziców i wychowawców, ucząc ich właściwego do dzieci podejścia i podkreślając na każdym kroku doniosłość ich roli.

„Wszystko dla dziecka" — to w krajach cywilizowanych najpopularniejsze dziś hasło. W imię jego walczy się z wszystkimi wrogami szczęścia dziecka: z nędzą i zaniedbaniem fizycznem, z brutalnością nieodpowiedzialnych rodziców czy sadystycznych wychowawców, z epidemjami i wyzyskiem dziecka, jednem słowem z cierpieniem dziecka we wszelkich jego postaciach. A walka to niełatwa, tembardziej, że trudności ekonomiczne i gospodarcze kryzysy tak liczne rzesze bezrobotnych małych istot wydają na pastwę nędzy i zaniedbania. Żłobki i ochronki nie są w stanie przyjąć tych wszystkich wydziedziczonych, którym najbardziej kochający rodzice nie mogą zapewnić koniecznego do normalnego rozwoju minimum dobrobytu i radości życia.

Opieka nad dzieckiem i jego umiłowanie idzie w parze ze stopniem cywilizacji i dobrobytu danego kraju, wpływającego — jak tego uczy statystyka — na automatyczny spadek rozrodczości. W krajach zachodu dziecko cieszy się szczególnemi względami. Nierzadkim jest na ulicach Paryża widok policjanta, zatrzymującego cały ruch na najbardziej ruchliwych ulicach, aby ułatwić przejście przez jezdnię piastunce, wiozącej wózek dziecinny. Dziecko ma wszędzie pierwszeństwo — bo to wszak przyszłość narodu, a określenie to przestało już być pu-



Rubens: Portret synka malarza, Miklasa („Albertina" — Wiedeń).

Jego królewska mość — Bobo...



Na prawo: Para najpiękniejszych dzieci francuskich: 9-letnia Denise Vasserge i François Toqué, które otrzymały na konkursie piękności i zdrowia dzieci pierwsze nagrody.



Poniżej: Holbein: Portret Edwarda VI. jako dziecka. (Galerja hanowerska).

stym frazesem. W państwach, wykazujących dziś najsilniejszy dynamizm, opieka nad dzieckiem wzrasta z roku na rok i coraz szersze zatacza kręgi. Ciężar wychowania i wyżywienia dziecka przejmuje powoli państwo bezpośrednio czy pośrednio, premjując rodziców mających liczne potomstwo i dopomagając im finansowo.

Sztuka współczesna nietylko traktuje dziecko jako wdzięczny model, lecz przedewszystkiem służy mu bezpośrednio. Architektura nowoczesna uczyniła z pokoju dziecinnego prawdziwy raj, w którym dziecko znajduje właściwą atmosferę, na którą składają się światło i powietrze, jasne, wesołe barwy, higjeniczne urządzenia i celowe umeblowanie. Pokój, w którym dziecko ma żyć i rozwijać się, pojęty jest dziś jako synteza tego wszystkiego, co dziecku jest potrzebne, co ma go uczyć i bawić, rozwijać jego zmysł estetyczny i pobudzać wyobraźnię we właściwym kierunku. Coraz większy nacisk kładzie się dziś również na estetyczne walory dziecinnych zabawek, na ich znaczenie pedagogiczne. Resztki fabrycznej tandety i brzydkich, nieestetycznych ilustrowanych książek dla dzieci powinno się zwalczać i wypierać z naszego handlu, żądając zabawek choćby niedrogich i najprostszych, ale odpowiadających wymogom nowoczesnej estetyki.

Charakterystyczną ilustrację naszych dzisiejszych pojęć o dziecku stanowi nowoczesna fotografja, biorąca za temat dziecko. Jeśli porównamy ją z choćby przedwojennemi podobiznami dziecięcemi, przekonamy się, jak wielkie zaszły w tej dziedzinie zmiany. Zamiast sztywnych, upozowanych, śmiesznie i niehigjenicznie ubranych dziecinnych postaci, widzimy dziecko podchwycone we wszystkich przejawach jego życia. Nowoczesnego fotografika interesuje każda poza i każdy wyraz dziecka: dawno już odrzucił on zasadę, że dziecko musi się do fotografji wystroić i ufryzować, upozować i wykrygować, a tem samem pozbawić go właściwego wyrazu i wdzięku naturalnej bezpośredniości. Toteż fotografja dziecięca stoi dziś na bardzo wysokim artystycznym poziomie i daje studja dziecka pełne ekspresji i wdzięku. Wszystko, co wiedza i postęp stworzyły dla dziecka, znajduje w rodzicach wdzięcznych odbiorców: w najskromniejszym domu znajdzie się jasny i ładny pokój przeznaczony dla dziecka, na najuboższym nawet stole pojawi się od czasu do czasu złocista pomarańcza lub pachnący banan. Uderza nas ten kontrast, ale nie wiemy, ile godzin snu poświęciła taka matka, aby po ciężkiej całodziennej pracy znaleźć jeszcze czas na wyhaftowanie kokieteryjnej kryzki, czy zrobienie na drutach strojnej czapeczki z puszystej, mięciutkiej angory... Czemuż to przypisać? Może głębokiemu instynktowi macierzyńskiej miłości, może podświadomemu przekonaniu, że ta maleńka istotka to jedyny kapitał czystej i niefałszowanej radości... w szarem i twardem życiu.

Ewa Mieroszewska.

Na prawo: Tak wyglądała matka i jej córeczka w epoce biedermayerowskiej... Poniżej: ...a tak obecnie, w epoce samolotu, radja i wszelakich rekordów (Joan Bennett i mała Genee Hall z amer. filmu).





Siostrzana usługa.
Fot. Keystone.

Poniżej od lewej: Wspaniały, ale krępujący swobodę ruchów strój infantki Małgorzaty (portret Velazqueza w Muzeum Nadwornem we Wiedniu). Obok jedno z ostatnich zdjęć księżniczki Elżbiety, córki króla Anglji Jerzego VI., której swobodny strój sportowy nie odróżnia jej od innych dzieci angielskich





ESPERANTO „NA MIGI"

Właściwie tylko najsilniejsze uczucia, jak miłość, nienawiść, złość itp. nie potrzebują słów, by były zrozumiałe, w większości jednak wypadków trzeba niestety swoją myśl oblec w konkretne słowo, uważać na składnię, uwzględnić właściwy czas itd. W wieku, w którym wszystko się tak upraszcza i skraca, w którym „łapie się" fale głosu w atmosferze, normalna ludzka mowa, walcząca z trudnościami gramatyki, jest właściwie nieomal anachronizmem. Tem więcej, że — nie chcę zresztą poniżać dzisiejszej kultury, ale muszę to zaznaczyć — kwieciste, ciekawe i treściwe konwersacje ubiegłego wieku przestały być atrakcją dla ludzi i zastąpione zostały hałaśliwemi i beztreściowemi meetingami w tej czy innej formie, gdzie główną rolę odgrywają stereotypowe określenia.

Oddawna zagadnienie wspólnego języka było tematem prac lingwistów i uczonych. Jak wiemy, średniowiecze, a nawet jeszcze wiek XVIII posługiwały się łaciną jako językiem warstw wykształconych i posiadających. Wprawdzie łacina ta była nieraz mało „cycerońska" i grubo naiwna, ale bądź co bądź można się było nią rozmówić. Przypominała często rozmówki tego rodzaju: „Loqueris — ne latine? — Non tęgo, amice, non tęgo!" Z chwilą zdobycia za Ludwika XIV przez Francję hegemonji politycznej w Europie środkowej, język francuski stał się nietylko językiem dyplomatów, ale każdego, który uważał się za coś lepszego. Wiemy, że korespondencje naszych prababek odbywały się często w tym języku, a panował on niepodzielnie w Rosji w XVIII i początkach XIX w. do tego stopnia, że wyparł zupełnie język rodzimy. Wiek XIX przyniósł różne próby stworzenia języka międzynarodowego. Miał nim być „Volapük", będący dziwacznym galimatjasem różnych pierwiastków językowych, nieskoordynowanych i robiących „dzikie" wrażenie. W końcu XIX w. stworzył nowy język międzynarodowy „Esperanto" Polak dr Zamenhof, które rzeczywiście wkrótce rozprzestrzeniło się na całym świecie, posiadając obecnie własne czasopisma, własną literaturę i tysiące zwolenników. Ale te wszystkie języki o ile nimi mówiący liczyć się muszą z pewnemi ograniczeniami, stworzonemi z natury rzeczy przez gramatykę, mają swoje słabe strony, nie przemawiają one bowiem jako takie do intuicji człowieka i do jego zdolności zrozumienia. Nie znając słów, nie znając składni, nie można się niemi posługiwać. W daleko lepszej sytuacji znajdują się głuchoniemi, gdyż język ich polega na ogólnie zrozumiałych znakach, których wyuczenie się wymaga jedynie pewnej bystrości wzroku i umysłu. Z tego założenia wychodził angielski uczony lingwista sir Ryszard Paget ,oraz jego pomocnicy, którzy, po długich zresztą studjach na ten temat, wypracowali międzynarodowy język znakowy. Istotnie, rola jego, zwłaszcza z chwila rozpowszechniania się telewizji, może być olbrzymia i może stanowić potężny czynnik kulturalny. Opracowanie tego języka zbiegło się z wielkim kongresem głuchoniemych, który odbył się w ubiegłym roku w Londynie. W kongresie wzięły udział wszystkie wybitniejsze narodowości świata, a miał on za zadanie załatwienie licznych spraw, odnoszących się do losu tych nieszczęśliwych, przedewszystkiem zaś uzgodnienie języka głuchoniemych, aby zrozumienie jego stało się uniwersalnem. Dziwny obraz przedstawiał się oczom uczestników kongresu: zjawili się na nim bowiem nietylko reprezentanci narodów europejskich, ale również czerwoni Indjanie z Ameryki, postacie fantastycznie ubarwnych Hindusów i wiele jeszcze innnych egzotycznych gości. Uroczyste nabożeństwo w katedrze św. Pawła odbyło się w grobowej ciszy, gdyż pod sklepieniami świątyni nie padło ani jedno głośne słowo, a jedynie znaki je zastępowały. Podczas kongresu urządził sir Ryszard Paget kilka prób porozumiewania się uniwersalnym językiem znakowym. Wypadły one jak najlepiej. Otóż w londyńskim teatrze „Little Theatre" odbyło się przedstawienie sceniczne, w którem aktorzy posługiwali się jedynie językiem znakowym. Lotniczka w typie miss Amelji Earhardt udaje się samolotem w daleką podróż, ale zmuszona atmosferycznemi zmianami, ląduje przymusowo na jednej z wysp Polinezji. Oczywiście Polinezyjczycy nie mówią po angielsku i porozumienie się z nimi jest nader trudne. Lecz tutaj właśnie zaczyna się rola uniwersalnego języka znakowego: lotniczka stosuje go z pełnym sukcesem i wkrótce porozumiewa się z tubylcami wcale łatwo. Oczywiście, że treść sztuki odegranej za pomocą wspomnianego języka przez aktorów jest antycypowaniem faktów, gdyż język znakowy jest dopiero w powijakach. Ciekawem jest, że aktorzy dosyć łatwo wyuczyli się swojej roli pod kierownictwem sir Pageta i próby szły bodajże łatwiej, niż na deskach normalnego teatru. Jak dalece język znakowy wrodzony jest człowiekowi i ilu posiada adeptów, nie zwerbowanych za pomocą propagandy czy innych momentów, lecz czujących poprostu potrzebę porozumienia się w ten sposób, wykazuje okoliczność, iż zarówno czerwoni Indjanie Ameryki Północnej, jak również tubylcy Australji, kobiety kaukazkie i niektóre szczepy Kamerunu, a w Europie mieszkańcy prowincji Neapolu posługują się nie raz tym językiem. Trudno sądzić, czy okoliczność ta wykazuje ich niższość, czy też wyższość kulturalną, w każdym razie jest wyrazem pewnej wewnętrznej potrzeby tkwiącej w człowieku. Nie będzie od rzeczy zwrócić tu uwagę na wrodzoną każdemu człowie-



Powyżej: Sir Ryszard Paget uczy aktorów języka „znakowego".



Oto jedna ze scen sztuki odegranej w „Little Theatre", w której główne role objęła Carla Lehmann i S. Tafler.



Nauka zasadniczych podstaw języka „znakowego" trwa zaledwie kilka godzin. Sir Ryszard „wymawia" znakiem rąk słowo „ponieważ", uczeń jego zaś słowo „zależnie od".

kowi gestykulację, za pomocą której przecież wyraża on równie swoje myśli, oczywiście asocjując ją z słowami słyszalnemi. Ale są przecież nawet w życiu przeciętnego człowieka, nie mającego nic wspólnego z językiem znakowym, pewne ruchy, ilustrujące jego myśl conajmniej tak dobrze, jak żywe słowo. Zwłaszcza narody Południa mają swoje liczne gesty porozumiewawcze, które można uważać za wyraz tego instynktu kinetycznego, tkwiącego w człowieku.

Gdyby ten „cichy język" rozpowszechnił się na dobre w świecie, zagadnienie stworzenia uniwersalnego środka porozumiewawczego byłoby w części rozwiązane. Oczywiście, że trudno przewidzieć, jaką drogą pójdą te próby, zapoczątkowane przez sir Ryszarda i trudno określić ich znaczenie na przyszłość. W każdym razie inicjatywa uczonego angielskiego, nawiązująca zresztą do dawniejszych prób tego rodzaju, jest godną podkreślenia. JGM.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W Krakowskiem Towarzystwie Filatelistycznem prowadzono kilka dni temu dyskusję na temat, jaka kwota wystarcza na nabycie wszystkich nowości. Otóż rachunek po zesumowaniu wszystkich pozycyj okazał się tak słonym, że można przyjść łatwo do przekonania, iż na natychmiastowe kupienie świeżo emitowanych seryj może pozwolić sobie tylko... ktoś bardzo bogaty.

Oczywiście, że w ciągu dłuższego czasu można dostać zwłaszcza znaczki regularne za cząstkę wartości nominalnej niestemplowanych, ale zato duży procent serji dobroczynnych i lotniczych, nie mówiąc już o blokach, staje się nieosiągalnym. W październiku br. kupił jeden z członków Kr. Tow. Fil. blok „Ysaye" za 6.90; „Zefib" za 6.50; „Bratislawa" kosztowała 1.90; czeska serja B. I. T. 1.50; serja Łotwy z prezydentem 2.75; drobne Francje 40 gr.; Bułgarja 45 gr.; austrjackie „Winterhilfe" 3.—; Włochy jubileuszowe 6 zł. Razem 29.40 zł.! Trzeba zaś wziąć pod uwagę, że kilka pozycyj jest wyjątkowo tanich — znacznie poniżej cen handlowych i że wykaz ten nie obejmuje absolutnie kompletu europejskich znaczków wydanych w październiku.

Tak więc należy program zbierania przystosować do swych możliwości finansowych, a chociaż zachłanność zbieracza jest nieograniczona, lepiej zapewnić sobie przynajmniej większość znaczków kilku krajów, aniżeli mieć same puste kartki w albumie. Ci zaś, którzy nie chcą kupować znaczków, niech odrazu zrezygnują z posiadania znaczków dobroczynnych i bloków.

Bardzo kosztowne są również jugosłowiańskie znaczki lotnicze, które reprodukujemy w niniejszym numerze.

Komplet składa się z 8 sztuk, przyczem każdy rysunek powtarza się po dwa razy Formaty 26×35 mm i 35×28 mm. Barwy: 0.50 d. i 5 d.: brązowa i fioletowa, 1 d. i 5 d. zielona i karminowo-brązowa. 2 d. i 20 d. popielata i zielona, 2,5 d. i 30 d. różowa i niebieska.

Nie należą te znaczki do najpiękniejszych z typu krajobrazowych, z całem uznaniem przywitalibyśmy jednak podobną emisję znaczków lotniczych, gdyby była dziełem naszych wytwórni. Dlaczego nasze „M. P. i T." nie chce zarobić kilkuset tysięcy złotych, wydając regularną serję lotniczą: jest to dla wszystkich zbieraczy tajemnicą!

Również Bułgarja przeszła do druku heliograwurowego i wydrukowała serję z portretem córki króla Borysa. — Trzy sztuki za 1, 2 i 4 lewy mają format 22×27 mm i barwy: zieloną, c. pomarańczową i czerwoną.



W górnym rzędzie od lewej: Znaczek bułgarski z portretem córki króla Borysa, dwa znaczki jugosłowiańskie, oraz znaczek ks. Liechtenstein. W rzędzie dolnym: Dwa znaczki jugosłowiańskie.

Francja tradycyjnym systemem wydaje co chwila wartości „dodatkowe" i prowizoryczne. „Symbol Pokoju" widzimy na nowej wartości za 55 c. (fioletowa) a jeszcze mm za 20 rp. — czerwony.

W Księstwie Liechtenstein wreszcie dalsze zmiany: oto znaczek za 5 rappen (soczysto zielony) i w podobnym formacie 25×30 mm za 20 rp. — czerwony. W. H.



Halina Radlińska w balecie orjentalnym „Taina", kompozycji królowej Marji rumuńskiej, w któ-

Ekspedycja

NOWELA

L. Życki Małachowski

Olbrzymi wóz międzyplanetarny powoli opuszczał się w atmosferę, szukając dogodnego miejsca do lądowania.

Już usunięto pokrywy, chroniące jego boki i wysunięto olbrzymie stalowe skrzydła. Prężność atmosfery, jak trafnie obliczał astronom Tullo, była zupełnie wystarczająca, by unieść skrzydlaty wóz.

Kierownicy ekspedycji siedzieli przy aparatach, regulując je swemi chudemi pajęczemi palcami, zaś Tullo nałożył maskę gazową i wyszedł na pomost, który dla niego ze statku wysunięto.

Pod nim rozpościerała się, cel marzeń całego życia, ziemia. Olbrzymie zbiorowiska wód, nieznane na Marsie, przewalały się potężnie, lśniąc się jaskrawo w promieniach potężnego słońca.

Zieleń, ten najrzadszy ale najbardziej umiłowany na Marsie kolor, dominował tu wszędzie. Zieleniły się wody morza, zieleniły się olbrzymie przestrzenie ziemi, pokrytej jakiemiś roślinami.

Tullo dotknął palcem aparatu telepatycznego i posłał rozkaz do maszyn: obniżyć wysokość i okrążyć planetę!

Wóz lekko drgnął i spłynął na żądaną wysokość, kierując się z zachodu na wschód.

Tullo stał i patrzył. Wiedział, że ma przed sobą wolną chwilę, dopóki uczeni nie zaczną mu składać raportów o wszystkich właściwościach nawiedzonej planety.

To go nie obchodziło. Wiedział, że najbardziej ścisłe badania potwierdzą hipotezy i teorje dzięki, którym najwyższa Rada planety usłuchała go i dała zezwolenie na tę ekspedycję.

Lecz ciekawiło go jedno — jakie inteligentne istoty zamieszkują planetę o tak bujnej roślinności. Czy może jeszcze nie rozwinęło się tutaj wyższe życie? Może mieszkańcy ziemi stoją jeszcze na bardzo niskim szczeblu rozwoju? Ale przedewszystkiem — ostrożność.

Dopóki się nie zbada, jakie tajemnice mogą się kryć na owej planecie, jakie niebezpieczeństwa czyhają na przybyszów, nie można lądować. Chociaż wóz jest wyposażony w potężne środki obrony, nie wiadomo, czem dysponują przypuszczalni mieszkańcy ziemi.

Przypuszczalni...

Bo dotychczas żadnego ich śladu znaleźć nie mógł.

Patrząc na przelatujący pod sobą krajobraz, wyciągnął nagle długie ramię, by ująć dłoń Marinaa, której obecność wyczuł poza sobą.

— Czyżby nie było tu inteligentnych istot? — zawibrowało mu w mózgu jej pytanie.

Błysnął oczyma, zwracając ku niej swą trójkątną twarz.

Trzymając dłoń towarzyszki (co jest milsze od przekazywania myśli aparatem telepatycznym) przekazywał jej swe myśli, śledząc ich wrażenie w zmieniających się barwach oczu Marinaa.

— Atmosfera jest tu zbyt gęsta — myślał — zbyt wiele w niej tlenu. Tlen zapala krew i zaciemnia mózg. Z tego zbytku tlenu płynie żądza mordu. Istoty ziemskie albo są prymitywnemi potworami, zeżerającemi się wzajemnie, albo też są dopiero na tym stopniu rozwoju, który na naszej planecie nazwaliśmy kamiennym.

W odpowiedzi Marinaa ukazała palcem na dziwną, żółtą plamę, leżącą nad brzegiem rzeki.

— To wygląda na pracę istot rozumnych — pomyślała.

W odpowiedzi Tullo dał rozkaz zniżenia lotu jeszcze bardziej. Jego oczy Marsjanina, przyzwyczajone do jaskrawo żółtych powierzchni Marsa, z trudnością rozeznawały się w zieleni, skąpanej w błękitnawem morzu powietrza.

Lecz gdy wóz obniżył się tak nisko, że stał już nad ową plamą, Tullo ujrzał, że Marinaa ma rację. To, co się pod nim rysowało, miało regularne wymiary konstrukcyj, stworzonych przez istoty myślące

Aby lepiej zbadać sprawę, Tullo opuścił pomost i wszedł do izby kierowniczej, gdzie miał do dyspozycji ekran telewizyjny. Marinay szła za nim.

Na ekranie rysowała się przestrzeń, podzielona wąskiemi pasami, wykładanemi kamieniem i obudowana wysokiemi sześcianami, których regularność nie pozwalała ani na chwilę przypuszczać, że są dziełem przypadku.

Na owych pasach kamiennych od czasu do czasu przechadzały się jakieś istoty czworonogie, łącząc się w niewielkie grupki.

— Więc tak wyglądają mieszkańcy ziemi — zapytała Marinaa.

— Musimy im się przyjrzeć bliżej — zdecydował Tullo. — Nie widzę ich zbyt wielu i nie wyglądają na niebezpiecznych. Wylądujemy tutaj i zawrzemy z nimi znajomość.

Po krótkiej chwili wehikuł międzyplanetarny leżał na obszernym placu w środku dużego miasta.

Marsjanie, zachowując środki ostrożności, wychodzili jeden po drugim z wozu i rozglądali się ciekawie, gotowi za lada alarmem wzbić się wgórę. Lecz nic nie zagrażało przybyszom. Z pomiędzy owych budowli wysunęło się tylko kilkanaście owych istot czworonożnych i ze zdziwieniem patrzyło na Marsjan, pokazując ostre, błyszczące zęby i przemawiając chropowatemi ostremi głosami.

Tullo próbował się z niemi porozumieć. Lecz te istoty nie rozumiały go, a na wszelkie zbliżenia odpowiadały warkliwemi głosami i pokazywaniem ostrych zębów

Ich myśli, chwytane przez aparat telepatyczny, wyrażały pomieszane uczucia bojaźni, ciekawości i nienawiści.

— Tullo — przekazywała Marinaa — to nie są istoty, które zbudowały te budowle. To są stworzenia niższego rzędu, do myślenia inteligentnego niezdolne. Marinaa miała rację. Istoty owe bowiem po chwili przestały okazywać zainteresowanie przybyszom i zaczęły się między sobą przekomarzać i gryźć. Więc przestano się niemi zajmować. Tembardziej, że co innego zwróciło uwagę czonków ekspedycji. Oto, niedaleko od nich stała na placu wysoka kolumna, a na niej odlana z jakiegoś zielonkawego metalu — istota dwunoga.

— Jednak ewolucja szła tutaj takiemi samemi drogami, jak u nas — myślał Tullo — ta istota, poza drobnemi szczegółami budowy, jest do nas bardzo podobna. Należy przypuszczać, że takie istoty są prawdziwemi panami planety i musimy je odnaleźć i wejść z niemi w porozumienie.

Gdy zapuścili się dalej w owe miasto, znaleźli więcej śladów owych istot dwunożnych, lecz ani jednej żywej.

Stwierdzili też, że owe miasto było zupełnie zrujnowane i mało która budowla znajdowała się w dobrym stanie Wszędzie widniały wyrwy, jakby spadł na nie grad meteorów. Ściany domostw były porujnowane i poczerniałe, a dziwna ziemska zieloność pokrywała je.

W mieście znaleziono też ślady wysokiej kultury, więc Tullo zdecydował się na zatrzymanie ekspedycji przez pewien czas w tem miejscu i dokładne zbadanie ruin.

W celu przyzwyczajenia się do powietrza ziemi członkowie ekspedycji przebywali codziennie przez kilka jednostek czasu w komorze gazowej. Wreszcie można było odrzucić maski. Wtedy przekonano się, że to silne i ostre powietrze ziemi daje siły potrzebne do przezwyciężenia wielkiej siły przyciągania, jaka tu panuje.

Dalsze dni pobytu w mieście były dla eks-

pedycji bardzo ciekawe. Znaleziono wiele przedmiotów, świadczących o poziomie życia wymarłej rasy. Znaleziono też i skopjowano wiele napisów, napisanych nieznanemi znakami i w nieznanej mowie.

Lecz po pewnym czasie Tullo dał rozkaz wyruszenia na dalsze zbadanie planety. Żywił też nadzieję, że może gdzieś w jakim zakątku globu żyją jeszcze przedstawiciele pokrewnej im razy dwunogich

I znów wehikuł Marsjan wzbił się w powietrze, płynąc tym razem nisko nad ziemią.

Członkowie ekspedycji uważnie obserwowali ziemię, od czasu do czasu zatrzymując się w jakiemś miejscu. Lecz poza różnej wielkości i kształtu istotami czworonożnemi znaleźli jedynie małe istotki dwunogie, które z piskiem krążyły w powietrzu, posługując się przedniemi kończynami, jako skrzydłami. I te istoty jednak należały do niskich rzędów bytu i porozumieć się z niemi było niemożliwe.

Dopiero, gdy opuścili ląd stały i udali się na wielkie bezmiary wód, znaleźli to, czego szukali.

Przelatywali właśnie nad maleńką wysepką, zatopioną w bezmiarach morza, gdy nagle na ekranie telewizyjnym zarysowały się postacie istot dwunogich wyższego rzędu. Obniżyli jeszcze bardziej poziom i ujrzeli, że na wysepce znajduje się kilkanaście istot, przypominających kształtem zupełnie owe posągi w mieście. Istoty te powiewały ku statkowi gałęźmi i kawałkami tkaniny.

Tullo wydał rozkaz lądowania.

Sam wyszedł pierwszy z wozu i śmiało podszedł ku stojącym opodal istotom. Istoty te spojrzały na kierownika ekspedycji marsjańskiej i straszny zawód odmalował się na ich twarzach.

Lecz Tullo się cieszył. Istoty te myślały tak, jak i on i co ważniejsze — on te myśli chwytał aparatem telepatycznym i rozumiał.

Istoty te spodziewały się ujrzeć kogoś ze swej rasy, a tymczasem ujrzały istoty im obce. Nie były tem przerażone, lecz zasmucone.

Marsjanie przyglądali im się z ciekawością. Były to istoty białawo-czerwonawej barwy, bardzo obficie owłosione. Jedne z nich miały zarośnięte włosami twarze — inne natomiast miały oblicza gładkie. Różniły się także kształtami. Po tych kształtach nie trudno było poznać mężczyzn i kobiety.

— Czy mnie rozumiecie? — spytał myślą Tullo,

Z pomiędzy grupki istot wysunęła się jedna, posiadająca białe włosy i prawie tak nagą czaszkę, jak Marsjanie.

— Rozumiem was — odparła tak samo myślą. — Jestem jednym z tych nielicznych na ziemi, którzy rozumieją mowę ducha.

— Powiedz mi, dlaczego rasa istot myślących jest na ziemi tak nieliczna? — zapytał Tullo.

W odpowiedzi zasmuciło się oblicze przedstawiciela rasy ludzkiej — rzekł: stary już jestem, bardzo stary i ostatni z tych co wiedzą, dlaczego upadła potężna rasa władczy ziemi. Byliśmy na tej planecie potężni. Liczyliśmy tysiące miljonów. Na całej ziemi było nas wszędzie pełno. Nasze okręty pływały po wszyskich morzach, a nasze statki powietrzne oblatywały ziemię. Nawet przygotowywaliśmy się do lotu na waszą planetę, gdy przyszło nieszczęście.

Oto władca jednego z najpotężniejszych naszych plemion chciał zawładnąć całym światem. Kazał tedy budować wiele narzędzi śmierci i ćwiczyć swoich płodnych do zabijania ludzi. A ci, co się bali jego twardego panowania, też się przygotowywali do obrony. Nastąpiły straszne czasy. Zniknęła ze świata pomyślność i dobrobyt, bo wszyscy zamiast wyrabiać przedmioty codziennego użytku, rzucili się na wyrabianie narzędzi mordu. Te narzędzia mordu kosztowały bardzo drogo, gdyż do ich wyrabiania trzeba było używać najrzadszych materjałów. Jeszcze się nie zaczęła wojna, a już zapanowała powszechna nędza. Ludzie patrzyli na siebie jak wilki i każdy, kto mówił, że wojny można uniknąć, był prześladowkany

Ponieważ ja stałem na czele światowego związku miłośników pokoju, obrócił się na mnie gniew wszystkich. Wkońcu mnie i moich bliskich zesłano na wygnanie na tę bezludną wyspę, oddaloną od wszelkich ludzkich siedzib. Tutaj przebywałem, gdy się zaczęła wojna.

Początkowo mogłem śledzić jej przebieg przy pomocy aparatu, który zwano u nas radjem. Słyszałem przez ten aparat nowiny o strasznem spustoszeniu ziemi, o niszczeniu całych krain i bogatych miast przez latające maszyny, o wytruwaniu gazami całych narodów.

Aż wreszcie nadeszła najstraszniejsza z wojen — wojna bakterjologiczna. Uczeni wyhodowali mikroorganizmy, zabijające człowieka i zwierzę. Te mikroorganizmy, pełne jadów rozsiali po krajach „nieprzyjacielskich".

Ludzkość była już wtedy wycieńczona długo trwającą wojną, w czasie której zabrakło wszelkich środków żywności i oprócz żołnierzy wszyscy cierpieli głód. Osłabione organizmy ludzi stały się łatwą pastwą owych drobnoustrojów. Ludzie poczęli wymierać miljonami, a radjo całego świata nadawało długi czas wołania o ratunek. Lecz już było zapóźno.

Stacje radjowe cichły jedne za drugiemi, gdyż ich obsługa umierała. I prawdopodobni wymarli obecnie wszyscy ludzie oprócz nas. Ale my nic o tem nie wiemy. Nie mamy możności przepłynięcia wielkiego morza, aby zobaczyć, co się dzieje na reszcie świata.

Gdy pojawił się wasz wóz, ucieszyliśmy się wielce, bo sądziliśmy, że na ziemi powstała nowa, wspaniała cywilizacja.

Lecz nie. Nasza rasa już się skończyła. Zamordowała sama siebie. Nic już nas nie uratuje. Zajmijcie naszą ziemię. Macie do tego całkowite prawo. Jeżeli przeszkadzamy wam w waszych planach, zamordujcie i nas. Będzie to może nawet lepiej. Nie będziemy potrzebowali patrzeć na wymieranie ostatnich z naszej rasy.

Starzec skończył i krople wody poczęły spływać z jego oczu.

Patrzyli na niego Marsjanie, którzy nie znali płaczu, ze zdziwieniem. Lecz Marinaa zrozumiała ból starca

Wysunęła się naprzód, położyła dłoń na jego ramieniu i poczęła mu malować widoki pięknej przyszłości rodu ludzkiego.

— Jeszcze nie wszystko stracone — mówiła wprost do jego ducha — jeszcze ta garstka może zasiedlić ziemię i stworzyć nową cywilizację, z której będzie na zawsze usunięta wszelka myśl mordu. Marsjanie tu się nie osiedlą, gdyż na własnej planecie mają miejsca dość, ale służyć będą pomocą przy odbudowie świata. Wezmą młodzieńców waszej rasy i będą kształcić ich.

Starzec jednak smutnie pokiwał głową.

— Cywilizację zdobywa się przez lat tysiące, a nie w ciągu jednego ludzkiego życia. A już wiele, wiele lat upłynęło od czasu naszego osiedlenia i wszyscy już zapomnieli nawet tego, w czem celowali ich ojcowie. Spadli z wysokiego stopnia kultury i powrócić do niego już nie mogą, obecnie są to dzicy ludzie. Jeżeli chcecie nam naprawdę uczynić przysługę, przewieźcie nas na ląd stały i pozostawcie samym sobie.

— Ciężką winę poniosła nasza rasa wobec Stwórcy Wszechświata i została za to ukarana.

Marinaa schyliła głowę. Litość ogarnęła jej serce. Litość dotarła nawet do serca wielkiego astronoma Tullo, który nawet między swymi słynął za wzór myśliciela, nie podlegającego emocjom.

I prawdopodobnie był to wpływ tej dziwnej planety i tego upajającego powietrza, że Tullo poczuł, jak mu się coś dziwnie ściska w piersi, a po trójkątnych, zielonych policzkach po raz pierwszy w życiu spływają duże, ciężkie krople.

Dokończenie ze str. 2.

czasie, głos zaś musiał mieć istotnie bardzo ładny i dobrze wyszkolony, skoro nie wahał się występować na koncertach publicznych, śpiewając duety ze sławną w swym czasie na cały świat śpiewaczką Catalani, która zwała go mistrzem w śpiewie.

Wacław Rzewuski, jako prawdziwy emir arabski, jak urodzony Beduin, kochał się w pięknych koniach. Swoje stada arabskie otaczał zawsze wielkim przepychem. Konie miały wspaniale zbudowane i urządzone stajnie, jadały w marmurowych żłobach, przy każdym zaś z nich, aby się nie nudziły, stały zwierciadła, w których mogły się przeglądać, jak odaliski w Seraju.

Był on wielkim wielbicielem talentu Mickiewicza, który obok Al-Koranu należał do jego najulubieńszej lektury. Zwłaszcza lubił i zachwycał się Farysem. Nic dziwnego zresztą, jeżeli się domyślał, kogo Mickiewicz pod postacią Farysa chciał przedstawić Jedną tylko rzecz miał mu do zarzucenia. Powiedzenie: „Pędzę i podwajam razy", uważał za niezgodne z prawdą i psujące przepiękną całość. Gdyby Mickiewicz znał Wschód i jego zwyczaje, wiedziałby, że żadan prawdziwy Arab nie bije swego konia.

W Sawraniu założył Emir przepyszny ogród, na wzór wspaniałych ogrodów Bagdadu. Ponure cyprysy, palmy rozłożyste, oazy z ożywczemi źródełkami, bijącemi z pod zielonej przykrywy liści, przenosiły nas zda się z bujnych stepów Ukrainy w piaszczyste, odległe pustynie. Pośród tych cudów przyrody wznosi się skromny dwór szlachecki, zupełnie nie dopasowany do swego otoczenia. Wewnątrz dworu pstrokacizna. Odziedziczona po przodkach szlachetczyzna walczyła z naleciałościami wschodniemi. Polska część dworu zaniedbana, komnaty wschodnie urządzone z niebywałym przepychem, wspaniałe łaźnie, wanny, makaty. „W komnatach jego pełno bogatych sprzętów, broni kosztownej, pełno osobliwości ze wszystkich części świata, a nie było gdzie spocząć wygodnie" — mówi przy opisie Sawrania wyżej wspomniany pamiętnikarz Jełowicki.

W części wschodniej domu prześliczny meczet z krzyżem, postawiony na półksiężycu na kategoryczne żądanie sawrańskiego proboszcza. Oto szczegół charakterystyczny dla Rzewuskiego, który w przedziwny sposób łączył szczery katolicyzm z wyznaniem Al-Koranu, jak łączył zresztą polskie serce i kresową, szlachecką fantazję i butę z orientalistycznemi i kozackiemi nabytkami.

Zgon Emira był równie tajemniczy, jak całe jego życie. Kiedy zawierucha listopadowa ogarnęła kraj cały, Wacław Rzewuski przystąpił do powstania, przywiódłszy ze sobą uzbrojony huf wiernych kozaków W nieszczęsnej bitwie pod Daszowem, zakończonej tak straszliwą klęską, znikł bez śladu Emir arabski, Farys Rzewucha, Złotaja Boroda.

Mimo najstaranniejszych poszukiwań pozostałej rodziny, mimo różnorodnych wersyj i świadectw, stwierdzających, że zdołał ocaleć, że przemknął się szczęśliwie na ukochany Wschód, gdzie żyje w zdrowiu i spokoju — nie zdołano nigdy natrafić na żaden rzeczywisty ślad.

Legenda opromieniła poezją śmierć złotowłosego Emira...

——o——

HALALI!



W kole: Fragment biegu Warszawskiego Klubu Jazdy Konnej. Na prawo: zasłużony organizator wielu biegów myśliwskich w Krakowie ppłk. Pasternak.

Gdy nadejdzie jesień — ruch się zaczyna w świecie jeździeckim. Jest to okres, kiedy i rolnik i jeździec wojskowy mają nieco więcej wolnego czasu, a pola, z których sprzątnięto zbiory, zapraszają do galopu. Robi się zatem gwarno i rojno na polach nietylko we wsiach i majątkach, ale i pod wielkiemi miastami.

Wprawdzie na całym świecie organizuje się biegi myśliwskie — zwłaszcza Anglja słynie ze swoich „par force'ów" za psami — ale nigdzie biegi te nie mają tak gromadnego charakteru, jak właśnie w Polsce. Zagranicą startują tylko zamożni panowie, których stać na własne, dobrze wypielęgnowane konie. U nas biegi te coraz bardziej przybierają charakter sportu masowego. Trzeba przyznać, że wiele pod tym względem zdziałało wojsko. Każdy bowiem pułk broni konnej organizuje conajmniej jeden bieg dla oficerów i zaproszonych gości i jeden dla podoficerów. Tradycja ta zaczyna zatem przesiąkać i do niższych sfer społecznych, a co zatem idzie po wsiach trafiają się coraz częściej wypadki organizowania biegów dla młodzieży wiejskiej.

Bieg myśliwski nie jest zwykłym konkursem, rozgrywanym na placu czy ujeżdżalni — jest wielką próbą konia i jeźdźca. Czy to będzie bieg za „prawdziwym" lisem i psami, czy też bieg za mastrem — zawsze przed jeźdźcem stoją poważne trudności. Bieg prowadzony jest bowiem przez najtrudniejsze tereny. Przeszkoda wyrasta za przeszkodą. Raz będzie to wóz drabiniasty, to znowu głęboki rów z wodą, to znowu stromy zjazd, to znów klasyczny płot, czy tak zwana popularnie „hyrda". Nie można jechać spokojnie, jak na spacerze, ale trzeba dobrze patrzeć przed siebie i umiejętnie konia naprowadzić, gdyż inaczej czeka jeźdźca katastrofa. Grupa galopujących koni trudna jest do zatrzymania, a o wypadek dostania się pod kopyta pędzącej watahy nie jest znowu tak trudno.

Ileż jednak radości, ile zadowolenia przynosi bieg dobrze przejechany i ukończony! Jakżeż cenną wydaje się być mała odznaczka, którą otrzymuje jeździec po biegu na pamiątkę udziału w takiej imprezie. Podkówki, strzemiona, czy hacelle z datami i inicjałami formacyj, urządzających bieg, cenione są bodaj niemniej od wielu wawrzynów i odznaczeń.

No, a potem następuje końcowy punkt biegu, który dla wielu posiada także swoisty urok. Jest to biesiada, często pod gołem niebem. Bigos myśliwski, zakrapiany wódką, smakuje jak nigdy. Humory poprawiają się z minuty na minutę i zabawa wre w całej pełni, mimo, że czerwone frakli jeźdźców i piękne mundury wojskowe noszą wyraźne ślady galopu przez błota i strumienie. Nierzadko orkiestra ułańska przygrywa do tańca, a na zielonej murawie wije się barwny wąż par, tańczących mazura przy wtórze brzęczących ostróg...

Ale wszystko dobiega końca. Śnieg pokrył ziemię — skończył się piękny okres „św. Huberta", który pozostaje w pamięci uczestników, jako najmilsze wspomnienie po jesieni.

W. D.



Na starcie biegu Krak. Klubu Jazdy Konnej — Od lewej panie: Śmiałowska, Korusowa, Rogalska, Bojarska, Chludzińska i płk. Szechiński.



Pani Marja Balko prowadzi bieg myśliwski w Latoszynie pod Dębicą.

Poniżej: Grupa uczestników biegu myśliwskiego Warsz. Klubu Jazdy Konnej w galopie za „lisem".



ŁOSOSIOWE PŁAWNICE

JESIENNE POŁOWY NASZYCH RYBAKÓW

T. WITOWIECKI

Purpurowy krąg jesiennego słońca zdał się nie spieszyć na spoczynek, lecz jakby ciekawy własnego odbicia, drgał tysiącem promieni na nieskończonem zwierciadle morza, kładąc tu i ówdzie krwawe plamy, odcinające się ostro od ciemnego granatu powierzchni wód, która hen daleko, zetknąwszy się z gęsto pomarszczonem, pióropuszami wełnistych baranków, sklepieniem nieba, tworzyła jedną całość różowo liljowych barw.

Swawolny wietrzyk z zachodu gładził pieszczotliwie pooraną bruzdami fal taflę, a jakby dla igraszki, od czasu do czasu, to rzucił wał wodny ku piaszczystemu wybrzeżu, to znowu, rozkołysał bezdenną toń, aż swarliwe bałwany jęły uderzać jedne na drugie, wybuchając co chwilę kłębami mlecznej piany. Raz po raz przeszywał powietrze rozdzierający krzyk mew, które niby biały obłoczek, uganiały niestrudzenie, siekąc z pasją skrzydłami fale, gdy zdobycz wymknęła się i przepadła w ciemnej otchłani.

— Henryku — rzekł, wytrzepując resztki popiołu z wypalonej fajeczki, chudy jak patyk o piegowatej twarzy wyrostek — tych łososi jakoś nie widać. Ot, staremu coś się uroiło, a tobie się wydaje...

— Głupiś — odparł spalony na bronz wielkolud przy sterze, w rozpiętej mimo mrozu bluzie na piersiach i przekrzywionej nieco na bakier czapce marynarskiej — sam przecież w ubiegłym tygodniu, widziałem ich całe chmary, tylko trzeba dalej na północ, a napewno na nie się natkniemy — tu obrócił koło steru i rzuciwszy okiem na wielki zegar wmontowany do deski obok kompasu, dodał: — I tak przed nocą do domu nie wrócimy, a przy takiej pogodzie można spokojnie płynąć. Zresztą nasz kuter nie takie odbywał rejsy. Zapal lepiej światła, bo już i zmroczyć niedługo się zacznie.

Istotnie, „Delfin" największy kuter motorowy na całem wybrzeżu, zapuszczał się nieraz aż po Bornholm i choć bywał w różnych opresjach, zawsze wracał zwycięsko do portu, obładowany kilkudziesięcioma cetnarami ryb, budząc ogólną zazdrość. Bo też który przecież na wylot znał „poczciwy Bałtyk", mógł się z nim równać? Długi na szesnaście metrów, o dwóch masztach, zaopatrzony w czterdziestokonny motor ropny, a przytem niezwykle zwrotny, mógł rzeczywiście stawić czoło niebylejakiej nawałnicy. Obszerna zaś kajuta pod pokładem, posiadająca kuchenkę węglową i mogąca bez trudu pomieścić sześciu ludzi, dawała dostateczne schronienie załodze, podczas długotrwałych zimowych podróży.

Na połów wyjeżdżali zwykle obaj Budzisze w towarzystwie starego rybaka Leonarda, specjalisty od zastawiania sieci, który a który także w drodze zajmował się kuchnią, gdy bracia na zmianę pełnili służbę przy sterze.



Oto jak odbywa się zapuszczanie sieci na pełnem morzu.

Na wiadomość o gromadach łososi, które rzekomo pojawiły się 10 km na północny zachód od Helu, wczesnym rankiem wypłynęli na morze. Lecz nie licząc kilku zbłąkanych flądier, sieć ciągle świeciła pustką, choć Leonard zapewniał, że lada chwila trafią na stada, które co roku w tych stronach błądzą.

Tymczasem czarna noc oblekła bezmiar morza i zamigotało miljon gwiazd na niebie, zwiastując jeszcze większy spadek temperatury. Metalowe części kutra jak i wilgotne sieci piętrzące się na pokładzie, iskrzyły się białym szronem, a lodowaty wiatr przeciskał się przez najgrubszą odzież, chwytając szczękami przemarznięte członki.

— Jan — huknął mężczyzna przy sterze w stronę kajuty — może trochę mnie zmienisz, bo nie mogę rudla utrzymać w rękach.

Kilka razy jeszcze zawołał, zanim otwarły się drzwiczki w pokładzie i w kłębach pary ukazała się głowa chłopaka, który jakoś nie okazywał zbyt wielkiej ochoty do opuszczenia ciepłego schroniska. Odebrał ster z rąk brata, nachmurzony zapytał o kierunek, poczem postawiwszy kołnierz od kurtki, bo wiatr smalił coraz bardziej, utkwił ponury wzrok w ciemnej dali. Wogóle nie był zadowolony z tej całej podróży. „Bo gdzież to sens jaki — myślał — aby na jakieś mrzonki, które stary bajdurzy, jechać w taki psi czas. Ale ktoby tam wytłomaczył Henrykowi... Prawda, że niejednokrotnie jego, zda się, ryzykowne wyprawy przynosiły zysk sowity, ale dzisiaj napewno wrócą z niczem. Lepiej zawróciłby do domu — tu spojrzał za siebie i daleko na horyzoncie zobaczył mrugające dobrotliwie światełko latarni w Rozewiu, które jak jeszcze jedna gwiazda, błyskało od czasu do czasu na czarnem tle.

— Słuchaj no Jan — barczysta postać brata zamajaczyła w mroku — ja zarzucę teraz pławnice, a potem się trochę położę, bo wszystkie gnaty mnie bolą od całodziennej harówki. Za godzinę mnie zbudzisz, to z Leonardem pociągniemy... A powinny już być — dodał, wychylając się za burtę.

— Trzymaj tylko dobrze kierunek — rzekł zabierając się do odejścia, ale Jan położył mu rękę na ramieniu i zaczął nieśmiało:

— Możeby lepiej zawrócić, Henryk. Sam widzisz, że łososi niema... Poco plątać się po nocy.

— Oj, jaki ty dziecinny, a strachliwy niczem baba — odparł, śmiejąc się, starszy Budzisz. — Tobie prawie żaki[2]) zastawiać w zatoce, lub tubisy[3]) na haczyki nawlekać, nie puszczać się na pełne morze.

— Kąkol też tak mówił i razem z kutrem djabli go wzięli — oponował Jan.

— No, bądź spokojny — dodał Henryk pojednawczo — nic się nam nie stanie, a z pewnością wrócimy obładowani rybą. Tylko ciągle trzymaj kurs na północ — wołał, już wrzucając sieci za burtę, bo bliżej brzegu zastawiają chłopy z Wielkiej Wsi i narobiłbyś dopiero kłopotu.

Spojrzał jeszcze na morze, chwilę pomedytował, poczem głośno ziewając, udał się na spoczynek.

Jan zapalił fajeczkę i choć klął w duchu jeszcze dzisiejszą wyprawę, przecież jakoś raźniej zaczął patrzeć w przyszłość. „Kto wie, może brat ma rację. Nie darmo uchodzi we wsi za najlepszego rybaka i nigdy do domu nie wraca z próżnemi sieciami. Ciekawym — myślał znudzony monotonnym łoskotem motoru i wypatrywaniem świateł statków, które jak błędne ogniki błyskały z oddali, — co też teraz robią w domu. Pewno stara Pelagja rozplątuje pomierzwione sznurki od haczyków, a ojciec siedzi przy piecu i słucha jak mu mała Antosia opowiada czego się w szkole uczą. Taki mały brzdąc, ledwo to osiem lat liczy, a już czyta dobrze, i wyrozumienie o wszystkiem ma, jak dorosły — tu mignęła mu przed oczyma aureola złotych włosków, splecionych w dwa krótkie warkoczyki i jak para bławatków, niebieskie oczy. — Smarkacz jeden — uśmiechnął się na wspomnienie małej siostrzyczki, która była oczkiem w głowie całej rodziny. — Jak dorośnie, to pewno stary ją do szkół wyśle i tyle będziemy ją widzieli — myślał z irytacją. — A jak przyjedzie, kiedyś po latach, to będzie tak wyglądała, jak te letniczki, co ino w portkach całymi dniami chodzą i chłopa spokojnie nie przepuszczą. Oj, dałbym ja

[2]) Sieć na węgorze, zastawiana blisko brzegu w długich szeregach, zwanych maszoperjami.

[3]) Małe rybki, służące jako przynęta na szczupaki.



PRZYBYSZ Z PODBIEGUNOWYCH KRAIN


Rybacy wynoszą niewód na łódź, która za chwilę wyruszy na morze.

jej, gdyby taka była — tu pod nawałem przykrych myśli, kiwnął głową raz i drugi, oparł się ciężko o koło steru i dalej snuł projekty o przyszłości małej Antosi. — Nie, najlepiej będzie jak siostra zostanie w domu i wyjdzie za rybaka, a on niby stary kawaler, bo któraż dziewucha by go chciała, kiedy cienki i szpetny, będzie u niej mieszkał i patrzył na jej szczęście. I znowu natarczywy obrazek domu zamigotał, ale tym razem siedzieli wszyscy przy wieczerzy. Na stole dymi zupa, a stary zwraca się do niego i mówi: „a czemu to Henryka jeszcze nie widać?" Henryk... Henryk... chce odpowiedzieć, lecz nagle wszystko zasnuwa się mgłą, a oni z bratem jako mali chłopcy jadą żaglówką po zatoce, a lekki wiatr kołysze... kołysze... Ster wysunął się z bezwładnych rąk, obracając się szybko w tę i ową stronę, a kuter momentalnie zatoczył łuk i, pełnym biegiem swego czterdziestokonnego motoru, pognał w przeciwnym kierunku.

Tymczasem lekki dotąd powiew zmienił się w potężny podmuch, zakotłował w głębinie i z wściekłością tocząc góry pomrukujących groźnie bałwanów, runął ku lądowi. Pod tem uderzeniem, jak szlachetny rumak, gdy niezasłużenie otrzyma ostrogę, „Delfin" wspiął się w górę, uniósł wysoko rufę nad skłębioną kipielą, chwilę stał tak nieruchomo, poczem rozbijając na wsze strony grzebieniaste bryzgi piany, wpadł ciężko w rozkołysaną dolinę. Jeszcze kilka razy zdołał wdrapać się na niebosiężną, szumiącą górę, gdy ogromny bałwan, pędzący z zawrotną szybkością i prychający u wierzchołka białą smugą, gruchnął go z furją w bok. Nie wytrzymał smukły „Delfin" takiego pchnięcia, zakołysał się raptownie, poczem przepuszczając przez pokład ryczące masy żywiołu, legł na prawej burcie. Rwące fale wnet uchwyciły pakę stojącą na tyle kutra i podrzucając nią jak piłką, z łoskotem uderzyły w budkę sternika. Rozległ się brzęk tłuczonych szyb i potoki wody lunęły do środka.

Otrzeźwiony potężnym strumieniem Jan, w mgnieniu oka ocenił sytuację, chwycił za ster i kilkoma obrotami skierował kuter pod falę. Drgając, jakby z nadmiernego wysiłku, podźwignął się „Delfin" z niebezpiecznej pozycji i skrzypiąc głośno wszystkiemi wiązaniami, nastawił znowu śmiało rufę na pędzące falangi.

— Na Boga! Toż są już blisko lądu! Już widać nawet światła. Czyżby zatracił kierunek — bezładne myśli przebiegały przez głowę wystraszonego chłopca. — Ale czemu nie posuwają się naprzód, motor przecież funkcjonuje — tu usiłował pochwycić regularny dotąd turkot. Ale musiało się stać coś złego, bo sprawna zawsze maszyna, zdawała się zacinać, chwilami całkiem milkła, to znowu odzywała się krótkiemi serjami nagłych wybuchów.

— Sieci przy brzegu — błysnęła mu straszna myśl — pewno omotały śrubę i dlatego motor się dusi. Trzeba natychmiast rozpiąć żagle, bo zginiemy...

— Henryk — ryknął w trąbkę łączącą urą kabinę sternika z kajutą — lecz żaden głos mu nie odpowiadał, tylko szum fal coraz częściej przewalających się przez pokład zwiastował bliską katastrofę. W śmiertelnym strachu puścił ster i czepiając się zwisających lin, poomacku dobrnął do kajuty. Zataczając się jak pijany, chwycił za ramię spokojnie śpiącego brata:

— Henryk! Toniemy... Wpadliśmy w burzę, a przytem śruba od motoru zaplątana w sieci...

Stary Budzisz usiadł na posłaniu, przez chwilę mrugał oczyma jakby nic nie rozumiał, poczem nagle zerwał się na równe nogi, odepchnął brata i popędził na pokład.

Nie było ani sekundy do stracenia, bo niekierowany „Delfin" wpadł teraz w jakiś djabelski taniec. To stawał prostopadle, że trzeba było niemal wbijać pa nokcie w pokład, by nie zesunąć się po oślizgłych deskach w ryczącą otchłań, to znowu chylił się gwałtownie na bok, aż rwące potoki zapełniały kuter wciskając się w każdy zakamarek. Trzeba było za wszelką cenę ruszyć z miejsca. Podczas, gdy Henryk sterując pod falę utrzymywał jako tako równowagę, Jan z Leonardem czołgając się wśród egipskich ciemności zmierzali na tył kutra uzbrojeni w długi nóż zatknięty na kiju. — Lecz gruba warstwa splątanych sieci w żaden sposób nie dała się usunąć, trzymając na uwięzi śrubę statku, niby potworna ośmiornica w miękkich a sprężystych ramionach. Nie było innej rady, jak wziąć się do żagli. Raz po raz zalewani falą, trzymając się kurczowo olinowania, z wielkim trudem wciągnęli klin [4]), gdy odczepiona od burty lina wraz z ciężkim, metalowym blokiem ,rozpędzona ruchem wahadłowym, gruchnęła w pierś Leonarda i rozciągnęła go na pokładzie. Jeszcze chwila, a spiętrzony wał wodny wpadnie i zabierze starego rybaka. Jak piorun skoczył Jan do leżącego, jedną ręką objął go wpół, a drugą mocno zacisnął dokoła przedniego masztu i czekał na skok fali...

Czarna masa wtargnęła na pokład, pogrążając obydwu w gorzko słonym całunie. — Jan, czując, że w tej pozycji ani chwili dłużej utrzymać się nie zdoła, nadludzkim wysiłkiem przywiązał Leonarda do masztu, a sam z trudnością podźwignął się na kolanach i pochwycił za linę gafli [5]). Lecz nowa, jeszcze silniejsza serja podcięła mu nogi i potoczyła ku burcie. Nie dał przecież za wygraną, trzymając konwulsyjnie linę od żagla, która owinięta dokoła ręki wżarła się w ciało jak wściekła bestja.

— Musi ich koniecznie uratować — gorączkowe myśli trzepotały w głowie — niech sam zginie, ale musi naprawić zło, którego był przyczyną.

Nie zważał na przelatujące nad głową fale, zaparł się nogami o barjerę i z całych sił pociągnął za linę. Powoli szara płachta gafli podniosła się w górę, a wiatr oparł się zaraz na niej potężnie, aż bardziny [6]) żałośnie zaskrzypiały. — Jeszcze trochę, niech wejdzie choć do połowy — serce waliło mu jak młotem, a przed oczyma zaczęły tańczyć złote iskierki...

Wtem kuter zadygotał, błysnął białą rufą nad wodą i ruszył z miejsca...

— — — — — — — — —

Już szarzało, gdy Jan otworzył oczy. — W słabem świetle, sączącem się do kajuty


W kole: Łódź dojeżdża do niewodu, którego skrzydła trzymane są przez rybaków na brzegu.
Fot. A. Świerkosz — Hallerowo

[4]) Przedni żagiel.
[5]) Duży żagiel.

Dokończenie na str. 20.

Poniżej: Flotylla motorowych kutrów walczy z wysoką falą.



Z TAŃCEM POLSKIM
PO KRAJU WINA I PIEŚNI



W kole: Bulwary w nowoczesnej dzielnicy Bukaresztu.

Rozmawiamy z Konradem Ostrowskim, który powrócił niedawno z tournée, jakie odbył wraz ze swym baletem po Rumunji. Obecnie parę miesięcy występów w kraju — potem znowu wyjazd — tym razem dalej do Egiptu i Tunisu.

— Z Rumunji — tego kraju wina i pieśni, wynieśliśmy jak najmilsze wspomnienia — opowiada nam doskonały baletmistrz, którego zespół dobrze reprezentował taniec polski zagranicą — przyjaźń polsko-rumuńska nie jest tylko frazesem, używanym w czasie oficjalnych przyjęć. Poznaliśmy w czasie naszego długiego tournée wiele miast rumuńskich, stykaliśmy się z ludźmi wszelkich sfer, wszędzie przyjmowano nas serdecznie. Jeszcze brzmią nam w uszach okrzyki, jakiemi witano każdy nasz występ. Entuzjastycznie zwłaszcza witali nas wszędzie oficerowie rumuńscy, wznosząc okrzyki: „Niech żyje balet polski"



Brasow widziane z wieży ratusza.

A trzeba wiedzieć, że publiczność bukareszteńska, bo od Bukaresztu zaczęły się występy baletu Ostrowskiego — jest nader wybredna. Wszak miasto to nosi dumną nazwę „Paryża wschodu". Jest tu wiele kabaretów, rewij, music-hallów, gdzie występują najlepsze zespoły baletowe i najlepsze siły kabaretowe i variété Europy.

Nie jest bynajmniej rzeczą łatwą uzyskać zezwolenie na występy w Rumunji.

— Jechaliśmy — przyznam się szczerze — opowiada nam Ostrowski — z duszą na ramieniu. A nuż nas odrzucą! Przybywamy do Bukaresztu. Ogarnia nas ruch wielkomiejski. Oszałamia wprost nieprawdopodobny, jak dla przybyszów z Polski ruch samochodowy. Przysłano po nas wozy z music-hallu, w którym mamy wystąpić Ba, ale naprzód trzeba zdać egzamin... Jedziemy przez pulsujące życiem szerokie, tonące w powodzi świateł wielkomiejskie ulice Bukaresztu. Wysokie drapacze chmur budzą zachwyt i... zazdrość. Widać tu na każdym kroku rozmach, zamożność, beztroskę. Ludzie są weseli, uśmiechnięci Nie widać tu tego naszego typowego przygnębienia. Inny świat... Wpadamy do „Colorado". Jest to olbrzymi music-hall. Za kulisami istna wieża Babel. Rozbrzmiewają wszystkie języki Europy — no i Azji, gdyż nie brak również zespołów egzotycznych. Narazie jednak za kulisami panuje między żółtymi zgoda

Jesteśmy zmęczeni podróżą, a czeka nas ważna próba — aby wystąpić przed komisją Opery Narodowej. Komisja ta decyduje, czy dany zespół posiada dostatecznie wysoki poziom artystyczny, aby występować w Rumunji. Przed nami przechodzi egzamin czeska trupa. Zagrzewam więc moje dziewczynki, które są podniecone egzaminem. Ufam, że nie zawiodą mnie... Zbliża się wreszcie moment popisu. Orkiestra zagrała krakowiaka. Wypadamy na salę w naszych tęczowych kostjumach krakowskich, olśniewających barwą Pierwsze wrażenie jest doskonałe. Zdobywamy z miejsca sympatję członków komisji, których porwał rytm polskiego tańca, szalona gra barw naszych kostjumów. Przez cały czas egzaminu tylko krakowskie — tańce. Nie wymagają już więcej Jesteśmy przyjęci... Jakaś trupa, którą odrzucono w czasie egzaminu, opuszcza gmach z opuszczonemi głowami. Otrzymali bezpłatne bilety na powrót do granicy Rumunji. Niby „wjatyk" dla gracza, który zgrał się w Monte... Ale to nas szczęśliwie ominęło.

Natychmiast przydzielono nam garderoby. Warto im poświęcić parę słów. Wyglądają jak salony! Niema zdaje się w Polsce teatru, któryby posiadał takie garderoby dla artystów. Zaczynają się dni wytężonej pracy. W „Colorado" program składa się z dwudziestu kilku numerów. I to same asy... Trzeba się trzymać.. Musimy przyznać, że dzielnie dotrzymaliśmy kroku najlepszym zespołom, w ogólnej klasyfikacji zakulisowej wysuwaliśmy się często na pierwsze miejsce. Publiczność co wieczór przyjmuje nas gorąco. Musimy bisować. Huragan barw — rytm tańca krakowskiego — no i praca moich baletniczek robi swoje

Bo też trzeba przyznać, że nasz taniec krakowski różni się wielce od ludowych tańców rumuńskich. Byliśmy właśnie w Bukareszcie w dniu święta narodowego, gdy ulice stolicy przypominały Paryż w dniu 14 lipca. Bawiono się na ulicy. Na wszystkich placach orkiestry przygrywały do tańca. Młodzi i starzy, dziewczęta i chłopcy brali się za ręce i w takt powolnej muzyki tańczyli „syrbę" i „horę". Jest to taniec, polegający na tem, że grupa ludzi, wziąwszy się za ręce, tańczy 3 kroki naprzód, potem trzy kroki wtył, następnie dwa kroki w bok. I ludzie tańczą tak przez parę godzin. No — naszego krakowiaka czy mazura nie możnaby przez tak długi czas tańczyć. Tańce rumuńskie przypominają trochę naszą kołomyjkę — nie mają jednak tego temperamentu, co niezrównane tańce krakowskie.

W „Colorado" kolegowaliśmy z artystami wszystkich narodowości. Muszę tu lojalnie przyznać, że najbardziej przyjacielsko odnosili się do nas artyści niemieccy.

Potem ruszyliśmy w tournée po kraju. Odwiedziliśmy Brassow, miasto, które wrzyna się w wysokie góry. Dziwne miasto — ośrodek przemysłowy a jednocześnie stacja klimatyczna. Są tu wielkie zakłady lotnicze, w których pracowało 20 polskich instruktorów. Byliśmy również w Sinaja, przepięknie położonem wśród gór.

Muszę tu wspomnieć o olbrzymiej wprost popularności dwojga polskich artystów. Przedewszystkiem Ewy Turskiej-Bandrowskiej. Jest to najpopularniejsza śpiewaczka w Rumunji. Każdy jej występ był wielkiem świętem. Dalej Romanowski — długoletni baletmistrz opery narodowej. Jemu to Rumunja zawdzięcza wychowanie młodego pokolenia baletowego. Położył on olbrzymie zasługi dla rozwoju baletu rumuńskiego.

Konrad Ostrowski i jego doskonały balet występuje obecnie w Krakowie. W czasie tournée po Polsce — towarzyszy mu młody, doskonale zapowiadający się śpiewak Pręgowski. Niebawem cały zespół opuszcza Polskę, aby jak wędrowne ptaki, odlecieć na zimę do ciepłych krajów południa.

Zbigniew Grotowski.

Poniżej: Baletmistrz Konrad Ostrowski z zespołem, na czele którego zdobył zagranicą wiele cennych sukcesów artystycznych.



NA TROPIKALNYCH SZYNACH...

NAPISAŁ STEFAN ŁOŚ

Amerykańskie koleje! Odrazu na myśl przychodzi taki luksus, o jakim w Europie marzyć tylko wolno. Szalona, nieosiągalna u nas szybkość, obszerne nowoczesne wagony z klubowemi fotelami, sleepingi, obsługiwane przez murzynów, jednem słowem te wspaniałości, które oglądamy tylko w kinach czasem.

I to też amerykańskie koleje: małe, brudne, niewygodne wagoniki, brak najmniejszego komfortu, szybkość pożal się Boże! Punktualność — lepiej o niej nie wspominać...

Jakto? To mają być amerykańskie koleje?!

Owszem, też amerykańskie... Przecież Brazylja leży w Ameryce, a że w Południowej,, co za różnica!

Przepraszam bardzo! Różnica jest tak kolosalna, że trudno o porównanie.

Trzeba przyznać, że od czasu ostatniej rewolucji, t. j. o.d paru lat, wszystko się zmienia na lepsze, należy ocenić wielką pracę i usiłowania dzisiejszego rządu i uchylić kapelusza z szacunkiem, ale przecież trudno odrazu wszystko złe przerobić i zmienić.

Trzeba się wczuć w atmosferę Południowej Ameryki, trzeba pomyśleć o klimacie i tych szalonych przestrzeniach, wreszcie o całym szeregu innych, trudnych do pojęcia dla tutejszego człowieka przyczyn, żeby zrozumieć, a zrozumieć, to znaczy i przebaczyć.

To też zrozumiałem i przebaczyłem, nawet wtedy, kiedy upudrowany czerwonym pyłem, dusząc się w hermetycznie zamkniętym wagonie, tłukłem się na kilkutysięcokilometrowym szlaku od Sao-Paolo-Starare hen, na południe.

Tak, w tej podróży wiele zrozumiałem, choć mi się początkowo wiele rzeczy wydawało całkiem niezrozumiałe.

Siedzę sobie np. w wagonie i wyglądam z nudów przez okno. Niema, właściwie, na co patrzeć — jak okiem sięgnąć step i step. Równiutki, jak stół, więc zdawałoby się, że i linja kolejowa powinna być wyciągnięta, jak struna, a tu tymczasem kręcimy jakiemiś zgoła w tych warunkach nieusprawiedliwionemi zakrętasami po całym stepie, wzdłuż jakiegoś mizernego strumyczka.

Początkowo zdawało mi się, że to chyba mnie się tak w głowie kręci, ale że, dalibóg, nawet kropli osławionego narodowego kaszasu (cachasa pinga — wódka z trzciny cukrowej) w usta nie wziąłem, po długich bezowocnych dociekaniach zwracam się o wyjaśnienie do konduktora.











Fragmenty trasy kolejowej, wiodącej z Sao Paulo na Południe...

— Przecież przerzucić przez ten strumyk dwa, trzy całkiem nieduże mostki i droga byłaby, jak strzała... — zauważyłem. Konduktor spojrzał na mnie, zdaje mi się, co ironicznie i zapytał:

— Pan z Europy? A dawno?

— Parę miesięcy.

— Si, senhor. — Brazyljanie są niezwykle uprzejmi, nigdy nie przeczą — tu linja kręci, bo tak się lepiej opłacało.

— Opłacało?! — niebardzo zrozumiałem.

— No to proste przecież — spoglądał z wyższością na mój zakuty europejski łeb i wyjaśniał. — Linję tę budowała kompanja, mająca umowę z rządem, że będzie płatna od położonego kilometra szyn, no to się inżynierowie starali, by tych kilometrów było jaknajwięcej.

— Rzeczywiście, bardzo proste — przytaknąłem — ale... cóż rząd się na to zgodził?

— iii... rząd to może i nie, ale komisja, którą rząd przydzielił. Pewnie się potem komisja podała do dymisji, ale kompanja była już wtedy zapłacona, no, i komisja na tem nie straciła.

Kręciłem głową, podziwiając mądrość współpracy komisji z kompanją.

— Teraz mają linję podobno przebudować — rozgadał się mój konduktor — więc inna znów kompanja, a może i ta sama, tylko pod zmienioną firmą, umówi się od zbudowanego mostku i będzie znów mostków dużo.

Niewielu jest pasażerów odbywających całą drogę,

Dokończenie na str. 31-ej.









FREUD, CZY SENNIK EGIPSKI?



ONA: Ale przecież analiza snów nie polega na tem, żeby na prawo i lewo podstawiać gotowe symbole! Pan chyba na senniku uczył się psychoanalizy...



ONA: Tu cały czas były rzeczywiście działania podświadomości — ale pana!



ONA (do telefonu): Czy mnie atakował? Skąd? on boi się kobiet!!! Tak, jego wogóle nie można uważać za mężczyznę...
ON: Nie!... Ja absolutnie się nie zgadzam!

„Dwiema tezami obraża psychoanaliza cały świat i naraża się na jego awersję. Pierwsza z tych niepopularnych tez utrzymuje, że procesy duchowe są w swej istocie nieświadome, że istnieje w człowieku nieświadome i nieznane mu dążenie. Druga teza zawiera twierdzenie, że popędy seksualne współdziałają przy powstawaniu najwyższych kulturalnych, artystycznych i społecznych tworów ducha ludzkiego... Nigdzie nie można tak szybko nabrać przekonania o słuszności wywodów, na których opiera się psychoanaliza, jak przy pracy nad marzeniami sennemi. Na marzeniu sennem możemy udowodnić wszystkie założenia psychoanalizy, nieświadomość przebiegów psychicznych, osobliwe mechanizmy, które niemi kierują, oraz popędy jakie się w nich objawiają...".

Ten fragment „Wstępu do psychoanalizy" Freuda — jest mottem komedji Antoniego Cwojdzińskiego „Freuda teorja snów", jest zarazem punktem wyjścia i streszczeniem sporu i flirtu dwojga bohaterów wspomnianej komedji.

Jest ona tak wyborna, mądra, inteligentna, dowcipna, pełna kultury i pomysłowości, o kilkoplanowej treści, świetnie skonstruowanej, że słusznie niezrównany duet aktorski Janiny Romanówny i Marjusza Maszyńskiego obwozi ją teraz po całej Polsce. Niewątpliwie wkrótce w przekładach znajdzie się i na scenach zagranicznych, by świadczyć o żywotności, oryginalności i międzynarodowym zasięgu współczesnego polskiego dramatu.

W „Freuda teorji snów" przenikają się nawzajem, rozwijają subtelnie i dojrzewają pięknie dwie akcje, oryginalnie i znakomicie w krótkiej i zwartej ekspozycji skojarzone: W podświadomości zrodzona i aż do ostatnich słów komedji świadomości obojga bohaterów nieobjawiona zobopólna miłość, oraz wykład freudyzmu, poparty eksperymentami i naświetlony satyrycznie.

On, Marjusz, zapalony amator freudyzmu, przypadkowe wydarzenia w życiu Jej, Janiny, oraz opowiedziane mu jej marzenia senne interpretując jako wypowiedzi podświadomości, usiłuje wmówić w swą znajomą, że ona podświadomie nie kocha narzeczonego, że pragnie od niego się uczuciowo oddalić.

Ona zwolna, mimo zapewnień, że narzeczonego kocha, daje się sugerować wywodom Jego, ale, zapoznawszy się z podręczną literaturą o teorji snów Freuda, zaczyna Jemu udowadniać, że jest wręcz przeciwnie. Jego interpretacja snów była raczej na poziomie sennika egipskiego, ale Jej interpretacja przypadków w Jego zachowaniu świadczy, że... to właśnie On Ją kocha... Pocałunek, koniec flirtu, a początek miłości... Freud ich skojarzył...

Rozkosznie lekki i zabawny dialog, kojarzący nową parę, równocześnie popularyzuje wiedzę i jest także satyrą na nią. Bo co innego teorja naukowa, a co innego jej praktyczne zastosowanie, zwłaszcza, gdy do eksperymentów biorą się domorośli psychoanalitycy.

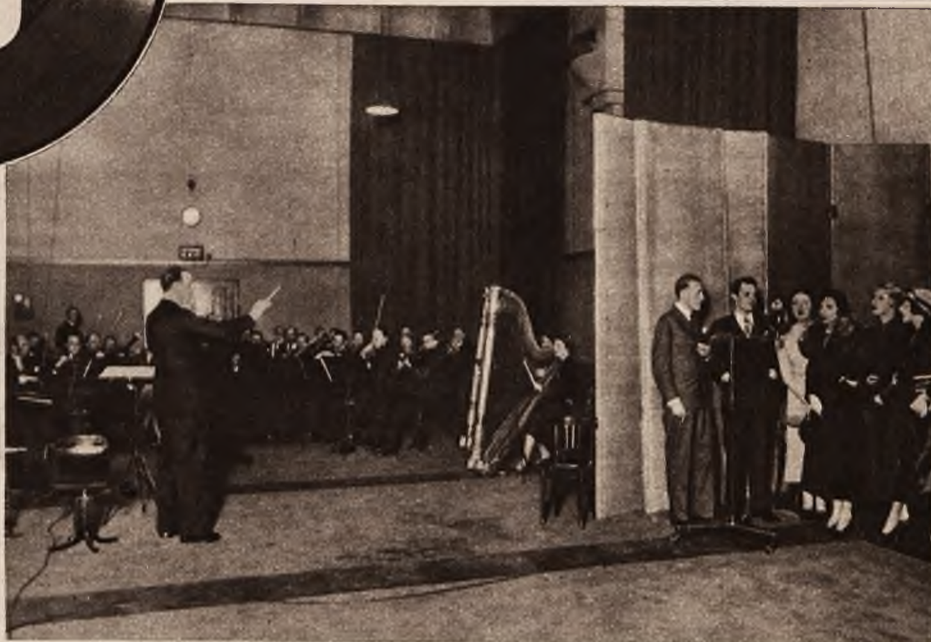
Wszystkie walory komedji Cwojdzińskiego wspaniale uwypukla znakomite wykonanie aktorskie wybornie z sobą zgranego duetu: Romanówna—Maszyński. Polski teatr ma zresztą szczęście do aktorskich duetów, żeby tylko przypomnieć jeszcze dwa najgłośniejsze w ostatnich latach: Malicka i Węgierko w komedji „Świt, dzień i noc", oraz Eichlerówna—Jaracz w sztuce „Zamach". Ale dzięki tekstowi utworu — duet: Romanówna i Maszyński jest najsympatyczniejszy.

Stan. Witold Balicki.

Zdjęcia przedstawiają pp. Romanównę i Maszyńskiego w komedji „Freuda teorja snów" na scenie krakowskiej. — Fot. Dr. Azet, Kraków.



Jak powstaje płyta gramofonowa?



Na prawo: Oto jak odbywa się nagrywanie płyt gramofonowych: artyści Yvonne Printemps i Noel Coward śpiewają przed mikrofonem w studjo, przyczem głos przenosi się na płytę woskową

Pomimo silnej konkurencji radja i kina dźwiękowego przemysł gramofonowy nieustannie się rozwija. Gramofon zawdzięcza swoje powodzenie w pierwszym rzędzie możności dostosowania się do indywidualnego gustu, co odróżnia go zasadniczo od innych wynalazków w dziale muzyki mechanicznej. Prócz tego jednak muzyka z nowoczesnej płyty na dobrym gramofonie przewyższa pod względem wierności i czystości tonów często znacznie muzykę radjową. Oczywiście nie można sądzić o muzyce tej na podstawie tanich płyt i tanich aparatów. Szczególnie udoskonalone zostały płyty gramofonowe. Fabrykacja ich stanowi dzisiaj niezwykle interesującą gałąź przemysłu. W takiej fabryce wszystko jest jaknajprecyzyjniej obmyślane i począwszy od studja, w którem odbywają się produkcje muzyczne aż do laboratorjów, w których bada się gotowe płyty przed oddaniem ich do sprzedaży. Najmniejsze uchybienie, czy to w samem nagrywaniu czy też w materjale płyty i jej wykonaniu odbija się ujemnie na wartości gotowej płyty.

Przypomnijmy tu pokrótce przebieg fabrykacji płyt gramofonowych. W studjo doskonale izolowanem od zewnątrz pod względem dźwiękowym, odbywają się produkcje muzyczne zupełnie tak, jak w studjo radjowem. Głos instrumentów muzycznych i śpiewaków zostaje zamieniony w mikrofonach na impulsy elektryczne, które dopiero przekształcają się na drgania igły szafirowej, ryjącej linję falistą w płycie woskowej. W sali, gdzie znajduje się aparat do utrwalania głosu na płycie musi panować stała temperatura, wynosząca 17 stopni C. Temperatura ta, to warunek należytego funkcjonowania drogocennego aparatu do utrwalania głosu, którego cena wynosi kilkadziesiąt tysięcy złotych. Płyta woskowa znajduje się na stole obrotowym, uruchamianym w ciekawy sposób. Żadna sprężyna ani też motor elektryczny używany niekiedy do poruszania zwyczajnych gramofonów nie zapewniają należytej jednostajności obrotów. Motorem jest tutaj siła ciężkości, zupełnie jak w zegarach wahadłowych. Blisko sufitu znajduje się ciężarek, który wolno spadając porusza zapomocą systemu kół i trybów maszynerję aparatu. Płyta woskowa ma średnicę 35 cm, a grubość jej wynosi 2.5 cm. Ma ona lustrzany połysk. Można sobie wyobrazić z jaką pieczołowitością obchodzi się z nią inżynier, kierujący zdjęciami głosowemi. Oczywiście, że palcami dotknąć jej nie wolno. Głos zostaje utrwalony na tej płycie w postaci linji falistej bądźto dawnem „pismem" edisonowskiem, bądźteż obecnie najczęściej używanem pismem Berlinera. Znamienne jest, że i dla rylca szafirowego wymyślono różnego rodzaju pismo. Według systemu Edisona poszczególnym tonom odpowiadają na płycie woskowej linje pionowe o różnej głębokości. Podczas gdy „pismo" Berlinera cechują zygzaki poziome. To ostatnie zajmuje, rzecz jasna, o wiele więcej miejsca na płycie i przeciętnie wypada 98 rowków na 2.5 cm średnicy, podczas gdy przy systemie edisonowskim na 2.5 cm wypada około 200 rowków, czyli że w tym wypadku można na płycie zmieścić o wiele dłuższy utwór. Artysta może sam wysłuchać nagranej płyty woskowej, ale oczywiście taka płyta nie nadaje się już do dalszej fabrykacji. Zazwyczaj nagrywa się jeden i ten sam utwór 5—6 razy, zanim otrzymuje się płytę odpowiadającą wszelkim wymaganiom. Z tego właśnie powodu, że artysta może powtórzyć dany utwór kilkakrotnie, nagrania płytowe znanych artystów są przeważnie lepsze, aniżeli ich produkcje przed mikrofonem radjowym.

O dalszych losach płyty woskowej, na której rylec szafirowy wyżłobił tajemnicze zygzakowate linje wiadomo, że płyta ta zostaje na powierzchni swej niejako zmetalizowana, tj. posypana delikatnym proszkiem o niezwykłej miałkości, przewodzącym prąd elektryczny. Dzięki temu płyta może być użyta jako elektroda i drogą galwanotechniczną pokrywa się ją grubą warstwą miedzi. Na tej płytce miedzianej, którą się z płyty woskowej zdejmuje, rowki i wyżłobienia są negatywem wyżłobień na płycie woskowej.

Negatyw ten nazywa się patrycą (po angielsku Master). Sama płyta woskowa jest już nieużyteczna, niejako dokumentem nagrania pozostaje właśnie płyta miedziana. Ona to stanowi podstawę wszelkiej dalszej pracy. W archiwum wielkich wytwórni płyt gramofonowych znajdują się setki tysięcy takich patryc, we wszystkich prawie językach świata, obejmujące nagrania największych artystów. Rzecz jasna, że patryca jest zbyt cenna, aby jej używać do ciągłej fabrykacji. Służy ona raczej tylko jednorazowo do uzyskania również w drodze galwanotechnicznej płyty nowej, będącej znowu odwróceniem poprzedniej, a zatem płyty pozytywnej, podobnej do pierwotnej płyty woskowej. Z tej płyty pozytywnej wytwarza się kilka negatywów, zwanych matrycami. Matryce



Na lewo: Głos ludzki zostaje utrwalony zpomocą igły szafirowej, żłobiącej delikatne linje na woskowej płycie.

Na gorącej blasze przygotowuje się „ciasto", z którego powstają płyty gramofonowe.

Wszystkie zdjęcia:

MICHAEL LORANT, Londyn

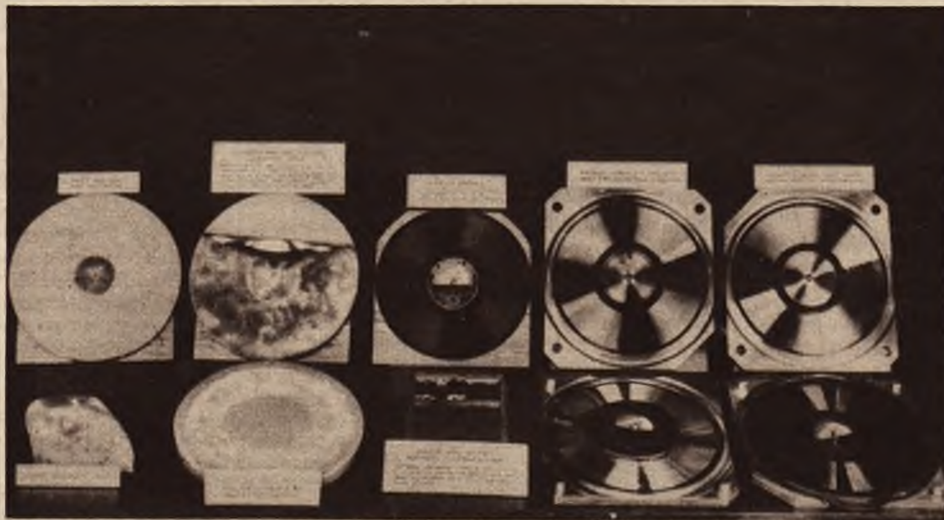
Po przygotowaniu materjału, służącego do wyrobu płyt gramofonowych, umieszcza się go w postaci kuli między dwiema metalowemi patrycami.

te oczywiście bada się szczegółowo, aby przekonać się, jak nagranie się udało. Po dokładnem i krytycznem obejrzeniu matryc zostają wybrane te, które mają służyć do fabrykacji samych płyt. Oczywiście nie wystarczy jedna matryca dla jednej płyty. Dobiera się równocześnie drugą, gdyż każda płyta gramofonowa ma dwie strony. Ta para matryc to dwie twarde tarcze stalowe.

W aparacie do wytwarzani płyt zostaje umieszczona odpowiednia ilość „ciasta", czyli masy, z której będzie wykonana płyta (po angielsku nazywa się ta masa „biscuit"). Jest to mieszanina szelaku i innych żywic, sadzy, gumy arabskiej i materjału wypełniającego, niezwykle dokładnie zmielona i zmieszana. Prasa hidrauliczna stłacza masę tę między obiema matrycami na cieniutką płyte. Początkowo matryce się ogrzewa, później znów chłodzi się je, tak, że płyta jest potem twarda i sztywna. Oczywiście że płyta musi być jeszcze wykończona, wyczyszczona, wygładzona i zbadana, czy nie ma jakiejś skazy, zanim się ją włoży do koperty i wypuści na rynek.

Oto w ogólnych zarysach opis najczęściej stosowanego sposobu fabrykacji płyt gramofonowych. — Z Ameryki sygnalizują jednak dalsze ulepszenia. A więc przedewszystkiem usunięto łamliwość płyt, przez to, że się je wyrabia nie z szelaku, lecz z acetocelulozy (octanu celulozy). Podwyższono maksymalną częstotliwość tonów rejestrowanych przez płytę z 4.000 na 10.000 drgnień na sek. Taka płyta oddaje już niemal całą skalę tonów, dostępnych dla ludzkiego ucha. Stosunkowo najbardziej przykre w muzyce gramofonowej są szmery, towarzyszące audycji gramofonowej. Otóż także i pod tym względem postępy są bardzo wielkie. Stosunek szmerów do dźwięków użytecznych wynosi w nowych gramofonach z ulepszonemi płytami 1 do 600. Do niedawna stosunek ten wynosił 1 do 50, czyli 2% dźwięków wydawanych przez gramofon było jeśli się tak wyrazić można „pasożytniczych". Skoro uwzględnimy, że na sali koncertowej stosunek szmerów do czystego głosu czyli do dźwięków użytecznych, wynosi około 1 do 1000, to zrozumiemy, że muzyka z nowych płyt gramofonowych zbliża się już do bezpośredniej audycji koncertowej.

Niemały wpływ wywarł film dźwiękowy na produkcję płyt gramofonowych. Już przy t. zw. klasycznej metodzie nagrywania płyt, opisanej na wstępie niniejszego artykułu, zapożyczono dużo od filmu dźwiękowego. Istnieje jednak cały szereg wynalazków, według których fabrykacja płyt gramofonowych przypomina do pewnego stadjum do złudzenia pracę w atelier filmu dźwiękowego. I tu i tam zdejmuje się dźwięki mikrofonem. Uzyskane w ten sposób pobudki elektryczne zamienia się na światło i w ten sposób otrzymuje się szereg linij zygzakowatych, odpowiadających nadawanej muzyce. Linje te na płycie lub na taśmie mogą służyć w aparacie gramofonowym do uzyskania zpowrotem dźwięków głosowych, tak, jak się to dzieje w aparaturze dźwiękowej w kinie. Zauważmy tylko, jakiemi dziwnie skomplikowanemi drogami chadza dzisiejsza technika. — Z głosu robi się najpierw obraz, aby z niego zpowrotem otrzymać głos. Tu już bardzo mało pozostało z pierwotnego wynalazku Edisona: niema już ani płyt woskowych, a często wogóle płyt, gdyż takie zygzakowate linje przeważnie wykonuje się na taśmach. Może w tem właśnie leży przyszłość muzyki gramofonowej.


A oto przegląd różnych faz rozwojowych płyty gramofonowej.

Inż. J. A.

Dokończenie ze str. 14.

przez zakratowane okno w suficie ujrzał zgarbioną postać starego rybaka, który wcale nie zdawał się być zmartwiony wczorajszym wypadkiem, bo pogwizdując gotował kawę na kuchni.

— Leonard — zawołał zdumiony chłopak — to ty jeszcze żyjesz?!

— Jak widzisz — odparł śmiejąc się staruszek — ale ty to naprawdę bliski byłeś śmierci. No, leż sobie spokojnie, a ja pójdę zmienić Henryka. Napracował się chłop setnie, ale, he, he, he, niedarmo...

Chłopiec chciał pytać, lecz stary śmiejąc się tajemniczo, już był na schodkach prowadzących na pokład.

— Może próbowali jeszcze szczęścia, jak burza ucichła — myślał Jan — tu nagle przypomniał sobie, że przy wczorajszej nawałnicy nie wyciągnęli zastawionych na łososie sieci. Zerwał się więc z posłania, gdy skrzypnęły drzwi i u wejścia stanął starszy Budzilsz:

— Cóż ty taki wystraszony? Boisz się jeszcze burzy? — spytał.

— Henryk, gdzie nasze sieci? — wyjąkał chłopak.

— Sieci? Są już na pokładzie — odparł z dziwnym uśmiechem brat.

— I wiatr ich nie porwał?

— A ty nawet nie ciekawy co w nich było? — rozsiadł się na pryczy i pykając kłębami dymu z fajeczki, spojrzał przez ramię na zdumionego brata.

— No, nie otwieraj tak szeroko gęby, bo jeszcze jaki łosoś ci do niej wpadnie, tem bardziej, że mamy ich blisko trzydzieści cetnarów w rumie [7]) i to dzięki twojej nieuwadze, bo właśnie przy brzegu były ich całe stada. Ledwośmy podołali ciągnąć obaj z Leonardem... Ale z ciebie dobry chmund [8]), niema co mówić! — Strzyknął śliną przez zęby w stronę kuchni. — Lepiej tobie naprawdę żaków w zatoce pilnować...

[6]) Limy przytrzymujące maszty.

[7]) Przestrzeń pod pokładem.

[8]) Sternik.



SŁOWIK XX WIEKU

Oto tak wygląda podziwiana przez świat cały i znana Wam, Czytelnicy, z radja i płyt gramofonowych fenomenalna śpiewaczka koloraturowa Erna Sack. — Zdjęcie z doskonałego filmu

Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

VALSE CAPRICE

Z OPERETKI „TRÓJGRANIASTY KAPELUSZ"

MICHAŁ ŚWIERZYŃSKI



WOJCIECH KUJAWA **NOWELA**

Hanka ze spuszczoną głową wyszła z biura handlowego „Bracia Nikowscy i Sp-a", gdzie otrzymała krótką, szorstką odpowiedź: „Niema wolnych posad!".

Młoda dziewczyna już od czterech miesięcy była bez pracy. Firma, w której poprzednio pracowała, zbankrutowała i nie wypłaciła jej wszystkich należności. Uparcie starała się o nową posadę, lecz nie miała szczęścia.

W niewesołym humorze szła ulicą. Do domu nie spieszyła się wcale. Przy każdym jej powrocie gospodyni upominała się o należne jej pieniądze. Szła więc bez celu, mijając ulice. Głęboko zadumana nie zauważyła, że znalazła się w eleganckiej dzielnicy miasta. Ciągnęły się tu jedna za drugą eleganckie wille, otoczone ogródkami. Wzrok Hanki zatrzymał się na zgrabnej willi, pomalowanej na zielono. Przez parkan ujrzała mnóstwo kwiatów i starannie utrzymane trawniki. Pomyślała z zazdrością:

— Tu napewno mieszkają ludzie bez troski, szczęśliwie. Westchnęła i oddaliła się, snując dalej swe myśli. Dotąd nie poddawała się smutnym przypuszczeniom. Dzisiaj po raz pierwszy położenie jej stanęło przed nią w całej swej grozie. W kieszeni jej brzęczała ostatnia złotówka. Nie mogła znikąd oczekiwać pomocy. Rodzice jej nie żyli, a bliższych krewnych nie posiadała.

Naraz usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła się szybko i ujrzała siwego mężczyznę w ciemnych okularach. Był to Wacław Antoński, jej dawny kolega biurowy.

— Dzieńdobry, panno Hanko? Jak się pani miewa? Czy otrzymała pani posadę?

— Nie — odrzekła smutnie.

— Ja obecnie pracuję jako buchalter w firmie „Dorada". Właśnie przed chwilą dowiedziałem się, że nasza stenotypistka wychodzi zamąż i porzuca biuro. Niechże pani zaraz zgłosi się do firmy i powoła na mnie. Życzę pani powodzenia. Spieszę się bardzo. Dowidzenia.

Antoński pośpiesznie wsiadł do auta.

Hanka, nie namyślając się, pobiegła do wskazanej firmy. Po upływie godziny wyszła z biura firmy „Dorada" czerwona ze wzruszenia z przepełnionym radością sercem.

— Mam posadę, mam posadę! — śpiewało jej w duszy.

Wydało jej się, że świat jaśniej wygląda, a przechodnie przyglądają się jej życzliwie.

Podążyła do domu. Gospodyni otworzyła jej drzwi, i, nie dając jej przyjść do słowa, oznajmiła:

— Pokój pani już odnajęłam. Znalazłam wypłacalną, solidną lokatorkę. Proszę zabrać swe rzeczy i opuścić moje mieszkanie.

Nie pomogły tłumaczenia Hanki. W kilka chwil potem młoda dziewczyna z walizką w ręku schodziła ze schodów. Nie miała pojęcia, dokąd się teraz udać. Nikt jej nie odnajmie pokoju. Wszędzie trzeba zapłacić zgóry.

— Dzisiaj 16-go lipca — myślała. — Do pracy kazano mi zgłosić się dopiero 1-go sierpnia, czyli za pół miesiąca. A zanim otrzymam pierwszą pensję, upłynie jeszcze kawał czasu. Jak przeżyć te kilka tygodni?

Zaczęła przypominać sobie imiona swych znajomych, u których mogłaby poprosić przytułek na miesiąc. Niestety, wszystkie jej koleżanki z biura porozjeżdżały się każda w inną stronę. Nie wiedziała, co z sobą robić. Naraz przypomniała sobie pewną blondynkę, Janeczkę Sikarską, z którą spotykała się u swej przyjaciółki Stachy. Kiedyś uczyniła jej przysługę, może jej teraz Janeczka co poradzi.

Udała się do niej. Spotkała ją w korytarzu z walizką w ręku.

— Pani do mnie, panno Haneczko! Jaka szkoda! W tej chwili wyjeżdżam do swoich rodziców na wieś. Otrzymałam urlop.

Hanka naprędce opowiedziała jej o swoich kłopotach.

— Bardzo proszę, niech pani zamieszka u mnie. Jedźmy na górę Musimy się bardzo śpieszyć, żebym się nie spóźniła na pociąg.

Dziewczęta wskoczyły do windy. Janeczka paplała bez przerwy:

— Obecnie mamy śliczną pogodę. Będę miała doskonały wypoczynek. Niech się pani nie zgorszy, że w moim pokoju panuje okropny nieporządek. Na stole zostawiłam kupę listów. Bo, widzi pani, podałam ogłoszenie matrymonjalne następującej treści:

— Bogata, wytworna panna chce poznać eleganckiego młodzieńca. Cel — wspólne spędzenie wakacyj.

— Ja i bogata! Ha, ha! W odpowiedzi otrzymałam 95 listów. Proszę je przejrzeć. Niektóre są bardzo śmieszne. Podałam to ogłoszenie nazłość Jędrkowi, memu narzeczonemu, bo się z nim pogniewałam. Ale już przeprosiliśmy się i jedziemy razem do moich rodziców. Właśnie czeka na dworcu.

Gospodyni Janeczki nie miała nic przeciwko temu, żeby Hanka zajęła pokój.

Janeczka uściskała Hankę i wybiegła z mieszkania.

Po chwili jednak wróciła i krzyknęła:

— Panno Haneczko, proszę jutro zatelefonować do mojej przyjaciółki Marysi Piotrowskiej i zawiadomić ją o moim wyjeździe. Nr. telefonu 164780. Jeśli przyjdzie Zbyszko Marcinkowski, bardzo miły chłopiec, proszę go przeprosić za zawód. Obiecałam z nim pójść do teatru. Dostałam urlop niespodzianie. Ojej, spóźnię się! Jędrek niecierpliwi się. Żegnam!

Gdy Janeczka zniknęła za drzwiami windy. Hanka wróciła do pokoju i zabrała się do rozpakowania walizki. Była bardzo zadowolona, że znalazła dach nad głową. Żałowała jednak, że nie zwróciła się do Janeczki z prośbą o pożyczenie jej kilku złotych. Zanim otrzyma pieniądze musi zjeść kilkanaście obiadów, śniadań i kolacyj. Inaczej straci siły i nie będzie zdolna do pracy.

Cały wieczór Hanka spędziła na przeglądaniu listów, które otrzymała Janeczka, następnie zjadła bułkę i położyła się spać.

Nazajutrz o godzinie trzeciej postanowiła zatelefonować do przyjaciółki Janeczki. Gdy skończyła rozmowę i położyła słuchawkę, telefon ponownie zadzwonił.

Hanka sądziła, że przyjaciółka Janeczki chce jej jeszcze coś powiedzieć. Ujęła słuchawkę i rzekła:

— Słucham.

Usłyszała wesoły głos męski:

— Czy to pani, panno Janeczko? Mówi Zbyszko Marcinkowski. Więc idziemy dzisiaj do teatru?

— Przepraszam pana, przy telefonie nie panna Janeczka, lecz jej znajoma. Panna Janeczka wyjechała dzisiaj do swoich rodziców.

— W takim razie pocóż podała to śmieszne ogłoszenie w gazecie?

Hanka zażartowała:

— Panna Janeczka uczyniła to na moją prośbę. Pisałam do niej, żeby podała ogłoszenie.

— A więc to pani jest tą bogatą dziedziczką. Bardzo mi przyjemnie. Co pani robi w mieszkaniu panny Janeczki?

Hanka zmyślała dalej:

— Przyszłam zabrać listy.

— Hm, hm. Szkoda, że panna Janeczka wyjechała. Mam właśnie bilety do teatru na popołudniowe przedstawienie. Może bogata dziedziczka zechciałaby pójść na przedstawienie. Mogę dostarczyć pani bilet i zaofiarować swoją osobę jako towarzystwo.

— Dobrze — zgodziła się Hanka. — Zaczekam na pana w mieszkaniu Janeczki.

Położyła słuchawkę i pobiegła do swego pokoju. Włożyła palto i kapelusz, następnie przejrzała się w lustrze, które odbiło jej świeże policzki i wielkie szafirowe oczy.

Wkrótce ktoś zapukał do drzwi.

Do pokoju wszedł młody człowiek w szarym garniturze. Twarz jego była pełna młodzieńczego uroku. Ukłonił się i rzekł wesoło:

— Jak już pani wiadomo, nazywam się Zbyszko Marcinkowski. Jestem dalekim krewnym Janeczki.

Po upływie kilku minut młodzi ludzie śpieszyli do teatru, gwarząc ze sobą, jak starzy znajomi.

Sztuka mało zajmowała Hankę. Była bardzo głodna.

— Czy pani rozporządza jeszcze czasem? — zapytał Zbyszko po wyjściu z teatru. — Moglibyśmy wstąpić do cukierni.

Hanka udała, że się namyśla chwilę, poczem się zgodziła.

— Jakie pani lubi ciastka? — zwrócił się do Hanki Zbyszko, gdy zajęli miejsce przy stoliku.

— Nie lubię ciastek — odrzekła Hanka. — Wolę zwyczajny chleb z masłem.

— Czy dawno bawi pani w naszem mieście?

— Przyjechałam wczoraj. Moi rodzice mieszkają na wsi — tu młoda dziewczyna opisała z całą swoją fantazją wspaniały dom rodzinny i przepych, który miał w nim panować.

— Czy pani przyjechała do krewnych?

— Owszem. Mam tu wuja.

Hanka zatrzymała się na chwilę. Nie wiedziała narazie jaki podać adres domniemanego wuja. Na szczęście przypomniała sobie piękną zieloną willę, którą widziała dziś rano.

Po wyjściu z cukierni Zbyszko zapytał czy może ją odprowadzić.

Szli, wesoło rozmawiając.

— Właśnie mieszkam tu — powiedziała Dolly, gdy zbliżyli się do zielonej willi.

Z zadowoleniem zauważyła, że na twarzy Zbyszka odmalowało się wielkie zdziwienie.

— Widocznie zaimponowałam mu swoją zamożnością — pomyślała.

— Nie mogę pana zaprosić do siebie — rzekła głośno. — Wuj mój jest wielkim dziwakiem. — Nie znosi młodych mężczyzn. Wiedziałam, że będę nudziła się w jego domu, więc dlatego prosiłam Janeczkę listownie o podanie ogłoszenia. Nie zbliżajmy się, bo wujaszek ma przyzwyczajenie siedzieć przy oknie. Może więc nas ujrzeć. Nie chcę się z nim pogniewać, ponieważ obiecał zapisać mnie cały swój majątek.

Młodzi ludzie umówili się, że jutro spotkają się w parku i rozstali się.

Hanka poczekała, aż Zbyszko zniknął na zakręcie, poczem inną drogą powędrowała do domu.

Nazajutrz, gdy spotkali się, młody człowiek zaproponował wycieczkę za miasto.

— Czy pani już po obiedzie?

— O, tak.

— To może wstąpimy na lemoniadę. Jest gorąco i chce mi się bardzo pić.

Hanka zjadła dzisiaj tylko kawałek suchego chleba. Kilkakrotnie zamierzała poprosić gospodynię Kitty o pożyczkę kilku złotych, lecz nie miała odwagi.

Siedzieli przy stoliku w restauracji, gdy nagle młoda dziewczyna poczuła zapach. Ach, jaki ten zapach był rozkoszny! Mimowoli odwróciła głowę.

To kelner niósł na tacy befsztyk, który roztaczał tak cudowny zapach.

— Na co się pani tak zapatrzyła, panno Hanko? — zapytał Zbyszko.

— Zdawało mi się, że ten pan, który siedzi przy ścianie jest moim dobrym znajomym. — odrzekła młoda dziewczyna. Jednocześnie poczuła, że gorący rumieniec wystąpił jej na policzki.

— Jednak w tej jadłodajni zachęcająco pachnie. A może zjedlibyśmy tak po befsztyczku?

— E, nie, jestem niedawno po obiedzie.

Zbyszek kazał podać dwie porcje mięsa.

— A co pani jadła na obiad?

— Wuj rozporządził się, żeby kucharz gotował wszystkie moje ulubione potrawy. Dzisiaj jadłam kurczęta z sałatą, indyka na zimno, krem śmietankowy i lody.

— A jaką zupę pani jadła, panno Hanko?

— Zupa, zupa... Nie jadłam żadnej zupy, bo nie lubię — i znowu zaczerwieniła się.

Młodzi ludzie spotykali się codziennie. Dzięki znajomości ze Zbyszkiem, Hanka była zawsze najedzona. Zbyszko był strasznym żarłokiem. Ciągle ją zapraszał do restauracji lub cukierni. Sam pochłaniał duże porcje i zmuszał do jedzenia Hankę.

...Wreszcie młoda dziewczyna objęła posadę. Po dwóch tygodniach otrzymała pierwsze zarobione pieniądze. Tego dnia postanowiła przyznać się Zbyszkowi, że nie jest bogatą dziedziczką, lecz skromną stenotypistką.

— Panie Zbyszku — rzekła cichutko, gdy jak zwykle odprowadzał ją do domu. — Muszę powiedzieć panu prawdę. Nie jestem wcale bogatą, za jaką pan mnie uważał. Wiem, że będzie się pan na mnie gniewał, ale nie mogłam panu wyznać wcześniej. Jutro wraca panna Janeczka, proszę jej nic nie mówić. Oto dwadzieścia złotych 40 groszy, które pan na mnie wydał. Zapisywałam wszystkie wydatki, które pan na mnie wydał. Zapisywałam wszystkie wydatki i zwracam panu połowę. Proszę nie mieć do mnie żalu.

Czekała ze spuszczoną głową i biciem serca, że Zbyszko zacznie czynić jej wymówki, że odejdzie, rzuciwszy na nią pogardliwe spojrzenie za to, że go oszukiwała.

Zbyszko nic nie powiedział. Ujął ją tylko pod rękę i poprowadził dalej. Zatrzymał się przed zieloną willą i otworzył furtkę.

— Ja tu nie mieszkam — szepnęła zawstydzona. — Ta willa nie należy do mego wuja.

— Ale od kilkunastu lat należy do mnie — roześmiał się Zbyszko. — Domyśliłem się wszystkiego, gdy powiedziałaś mi, Haneczko, że tu mieszkasz.

Młoda dziewczyna zakryła twarz rękami.

— Hanko, kochanie moje. Spójrz, tam na ganku czeka cię moja matka, której opowiedziałem o wszystkiem. Jeśli tylko zechcesz, ta willa będzie należała do ciebie...

ŻYCIE ARTYSTYCZNE

MAŁA WIRTUOZKA.



W koncercie, jaki odbył się 11 bm. w Gdyni, w związku z rocznicą odzyskania Niepodległości, wystąpiła 6-letnia Danusia Wienckówna, która wobec kilkutysięcznej publiczności odegrała na fortepianie dwa utwory Moniuszki. Występ małej wirtuozki spotkał się z żywiołową owacją słuchaczy. *Fot. B. Lemański, Gdynia*

* * *

W DRODZE DO AMERYKI.



Loda Halama i Jerzy Czaplicki, którzy przed kilku dniami wyjechali do Stanów Zjednoczonych na dłuższe tournée artystyczne, przesyłają Czytelnikom „Asa" serdeczne pozdrowienia z pokładu naszego wspaniałego transatlantyku M. S. „Batory". Zapewne już wkrótce usłyszymy o pierwszych sukcesach tej sympatycznej pary na ziemi amerykańskiej.

KONCERTY TOSCANINIEGO.



Wielką sensację wzbudziły w całym świecie muzycznym występy Artura Toscaniniego przed mikrofonem londyńskiego radja. Słynny dyrygent zerwał jedną z prób, poprzedzających występy, a uczynił to dlatego, ponieważ jej przebieg nie odpowiadał wiernie jego wskazówkom. Na zdjęciu obok widzimy Toscaniniego po opuszczeniu „Quens-Hall", gdzie odbywały się próby. *Fot. Wide World, Londyn*

CO WIDZIAŁAM W PARYŻU?



Na lewo: Wieczorowa bluzka do długiej aksamitnej lub wełnianej sukni (efekt bluzki leży w głębokim dekolcie).

●...kolję z czerwonych pereł oraz taką samą bransoletkę do sukni cocktailowej z czarnej crêpe satin, zapiętej wysoko pod szyję. Kolja zapina się tuż pod samą szyją, otaczając ją ściśle dokoła. Do tego kompletu czerwony filcowy turban.

●...tualetę szafirową, wieczorową ,uzupełnioną czarną szeroką aksamitką, wiązaną na szyi oraz mufką z czarnych aksamitnych kwiatuszków.

●...bluzeczkę ze złotych nici, wykonaną na drutach, do długiej czarnej spódniczki z lekkiej wełny.

●...woaleczkę usianą paillетami złotemi i czerwonemi, do malutkiego kapelusika wieczorowego.

●...niezmiernie dużo bluzek, o których się mówi, że podwajają ilość posiadanych tualet.

●...tualetę ze złotej lamy, opinającej biust i spływającej rozszerzającemi się plisami „soleil".

●...pantofelki w stylu dyrektorjatu, długie na wysokich obcasach, wykonane ze złotej skórki, od których długa tasiemeczka, skrzyżowana kilka razy na nodze, wiązana jest na misterną kokardkę. Duże sztuczne kamienie zdobią pantofelek i pierwsze skrzyżowanie tasiemki na podbiciu.

●...inne pantofelki wykonane jak pantofelki domowe, nie okrywające pięty. Tutaj przytrzymywane są dwiema taśmami z stembnowanej skórki, która wiąże się z przodu na podbiciu w płaską kokardkę.

●...przy balowej tualecie z długim trenem, a krótkim przodem, pantofelki à la grecque, wiązane wstążką z różowej mory, która oplata nóżki aż po kolana, wiązana pod kolanem na kokardkę.

●...rękawiczki skórkowe, naszywane z wierzchu futrem cennych odmian, jak sobole lub srebrne lisy, Zbędnym się przy nich staje zarękawek, lansowany na zimę dość silnie.

●...futra, futra, futra! Czy to płaszcze wieczorowe, obszerne, marszczone w pasie z obfitemi pelerynkami, staroświeckie w kroju, czy przepiękne sobole, jako płaszcze na ulicę o najnowszym kroju „flottante", bez kołnierzyka, a tylko z dużymi ranwersami.

●...srebrne lisy nieco spowszedniały; lis popielaty lub biały zdobi kostjumy zimowe, dodając im wyszukanej elegancji. Marlena Dietrich ukazywała się w teatrach paryskich „toute enrenardée".

Mewa.

Na prawo: Kasak z ciemnej crêpe satin do kostjumu zimowego.

Poniżej: Bluzka z kamizelką z jasnej crêpe satin lub crêpe d'albène, przybrana ciemną wstążka.





Poniżej: 1. Modne pantofelki do sukien popołudniowych. 2. Pantofelki à la grecque. 3. Najnowszy model pantofelków wizytowych.

Poniżej w kole: Bluzka z lekkiej wełny do ubiorów sportowych.







Kostjum na drutach

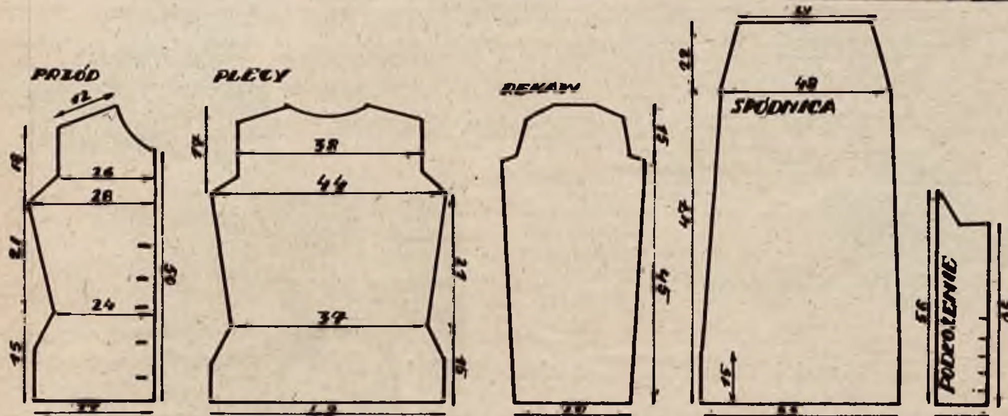
Dzisiejszy nasz model przedstawia kostjum, a raczej garsonkę włóczkową w formie kostjumu, wykonaną z bardzo miękkiej i ciepłej włóczki jasnoszarej na tle z sportowej fantazyjnej włóczki w kolorze brunatno-czerwonym. Ciekawy ścieg występuje wyraźnie w połączeniu z prostotą kroju. Do wykonania tego kostjumu trzeba ok. 700 g bronzowej, czerwonawo punktowanej włóczki „Sto kropek" oraz 400 g miękkiej szaro-beige włóczki „Marokko", marki „Trójkąt w Kole". Druty nr. 2, 5. Wszystkie części wykonujemy wg. schematu kroju, na którym liczby oznaczają wymiary w cm. Przerabiamy następującym ściegiem. Rząd 1: cały bronzowy, wszystkie oczka prawe. Rząd 2 cały bronzowy: wszystkie oczka lewe. Rząd 3 szarą nitką: oczko brzegowe (przerabiamy je na początku każdego rzędu prawostronnego obydwiema nitkami naraz), dalej naprzemian 1 oczko przerobić w prawo, 3 oczka zdjąć. Ostatnie oczko, jak wypadnie. Rząd 4 (powrotny) szary: naprzemian przerobić 3 oczka nawywrót, 1 zdjąć. Zdejmujemy zawsze oczko, które jest środkowem z 3 zdjętych w poprzednim rzędzie. Rząd 5 (prawostronny) bronzowy: oczko brzegowe, poczem naprzemian 1 oczko przerobić w prawo, 1 zdjąć. Rząd 6 (powrotny) bronzowy: cały z oczek lewych. Rząd 7, szary (prawostronny): oczko brzegowe, poczem 2 oczka zdjąć i dalej, jak rząd 3. — Rząd 8, szary (powrotny): jak rząd 4. — Rząd 9 bronzowy (prawostronny): oczko brzegowe, poczem na przemian 1 oczko zdjąć, 1 przerobić. Rząd 10 bronzowy (powrotny), jak rząd 6. Teraz powtarzać w dalszym ciągu roboty rzędy od 3-go do 10-go. Jako środek pomocniczy do zrozumienia deseniu podajemy wzór pisany znakami: gdzie ✕ — oczko bronzowe, □ — oczko szare, ♡ — oczko zdjęte (szare, albo bronzowe, zależnie od znaku). — Wzór przedstawia wygląd deseniu po prawej stronie roboty. Spodnicę wykonujemy w 2 jednakowych częściach, zaczynając od dołu, przyczem formę nadajemy dodawaniem i ujmowaniem z brzegów, uważając jednak, aby nie pomylić deseniu. Na żakiecik zaczynamy wszystkie części również od dołu. W prawym przodzie wykonujemy 5 dziurek na guziki, zakończając po 4 oczka i nabierając w następnym rzędzie, w tem samem miejscu, tę samą ilość nowych oczek. Podłożenia pod przody zaczynamy od dołu, przyczem w prawem podłożeniu wykonujemy również 5 dziurek na guziki. Gotowe podłożenia kładziemy na przodach tak, aby prawe strony leżały na sobie, przestębnowujemy brzegi przednie, górny i dolny, poczem odwracamy podłożenia pod spód i podszywamy niewidocznemi ściegami. Dziurki na guziki przodu i podłożenia obdziergujemy razem, łącząc je w ten sposób. Kołnierz wykonujemy prosty, wysoki na 12, długi na 45 cm, zaczynając go od dłuższego brzegu. Po ukończeniu składamy go wzdłuż na pół i wszywamy dłuższemi brzegami do wycięcia. Rękawy zaczynamy od dołu i przerabiamy, dodając z brzegów co 6 rzędów. Po ukończeniu wszystkich części rozprasowujemy je silnie na wilgotno i zeszywamy. Dolny brzeg spodnicy obrębiamy na 2 cm. Górny brzeg wszywamy w gurt, pozostawiając zapięcie na lewym boku. Brzegi zapięcia zaopatrujemy w szydełkowe listewki, a zapinamy na haftki i zatrzaski. Brzegi dolne żakietu i rękawów również obrębiamy. Żakiet zapinamy na bronzowe zamszowe guziki i nosimy go z takimż paskiem oraz odpowiednią chusteczką na szyję. Na ten kostjum możemy zamiast włóczki „Marokko" użyć również włóczki „Orion" w kolorach żółtawym i bronzowym. Nie używamy wówczas włóczki „Sto Kropek", musimy wykonać jednak wtedy kostjum na drutach nr. 2.

Mieczysława Drozdowska.

Wzór wskazujący jak należy wykonać kostjum z włóczki w kilku kolorach. Krzyżyk oznacza oczko bronzowe, kwadrat oczko szare, kółeczko zwykłe lub z krzyżykiem — oczko zdjęte, szare lub bronzowe.



Praktyczny kostjum zimowy z włóczki w kolorach beige, brunatnym i czerwonym.
Fot. Imre v. Santho.



Schemat kroju kostjumu sportowego z włóczki (obliczony na rozmiar 90 cm. obwodu klatki piersiowej)

DO NART

TRZEBA SIĘ PRZYGOTOWAĆ!





to już nadeszły miesiące, w których sporty zimowe zakrólują powszechnie. Wnet już wszyscy entuzjaści nart usłyszą fascynujące wołanie śnieżnych szczytów i równin.

Ale jeżeli ktoś chce naprawdę wykorzystać w całości piękno i brawurę sportu narciarskiego, musi przedewszystkiem mieć wyrobione muskuły, inaczej zamiast przyjemności będzie odczuwał zmęczenie i nie zdobędzie nigdy krain wieczystego czaru, otwartych tylko dla wyrobionych sportowców.

Trzeba więc u siebie w domu, zanim warunki śnieżne staną się zupełnie odpowiednie i zanim odjedzie się na pierwszy weekend w ramiona górskich przestrzeni, starannie przyzwyczajać muskuły do tych wysiłków, bez których nie osiągnie się niczego na skrzydlatych „deskach".

Ten trud codziennych ćwiczeń specjalnie opracowywanych opłaci się sowicie z chwilą, gdy do narciarskich butów przypięte i nasmarowane narty zacznie przyciągać zwycięski magnes śnieżnych przestrzeni.

W tym celu nie wystarczą zwykłe ćwiczenia z dziedziny t. zw. kultury fizycznej doskonałej zresztą, jeśli chodzi o stałe utrzymywanie formy. Do nart trzeba się specjalnie przygotowywać. Przygotowanie to zaś nie polega wcale na tem, jakoby nauczało ono jazdy na nartach, lecz wyłącznie na tem, by przyzwyczaić ciało do tych ruchów i takich wysiłków, jakich koniecznie wymaga ten szlachetny sport.

Uelastycznić przedewszystkiem należy kostki u nóg i kolana, które zdołały się już w ciągu lata i jesieni rozleniwić, a które trzeba koniecznie zmusić do najsprawniejszego uginania się.

Ażeby uprawiać rozkosz sportu narciarskiego trzeba także specjalnie zaprawić uda i podudzia do długiego wytrzymywania nacisku ciała w pozycji półzgiętej, a w tym celu trzeba muskuły nóg specjalnie wzmocnić.

Aby uprawiać rozkosz sportu narciarszybciej uskutecznić i móc się spodziewać jaknajlepszych rezultatów w objęciach górskiej zimy, należy w kilku seansach tygodniowo przejść ćwiczenia, które poniżej zestawiamy dla użytku entuzjastów nart. Czasu nie zabiorą one zbyt wiele, gdyż jednorazowo i tak nie można ćwiczyć dłużej, niż pół godziny.

1. Rozstawiwszy nogi w ten sposób, by lewa noga była zgięta w kolanie a prawa zupełnie wyprostowana, oparłszy ramiona na biodrach uginać się rytmicznie, wysuwając naprzód klatkę piersiową. Następnie to samo ćwiczenie powtórzyć, zmieniając pozycję nóg w ten sposób, by prawa była zgięta w kolanie a lewa wyprostowana. W ten sposób ćwiczymy kolana i kostki.

2. Położywszy się na brzuchu z wyprostowanemi nogami i z rękami odrzuconemi sztywno wzdłuż pleców, z głową podniesioną ku górze, zginać kolejno to prawą, to lewą nogę w ten sposób, by za każdym razem móc uchwycić na chwilę palcami obu rąk nogę w kostce. Po przećwiczeniu ruchu każdej z nóg kilkanaście razy, usiąść na podłodze, skrzyżować nogi i wstać bez opierania się rękoma o podłogę, a następnie wrócić znów do ćwiczeń w pozycji leżącej.

3. Stanąwszy z kolanami ugiętemi w ten sposób, by jedna stopa stała przed drugą o ile możności w linji prostej i w odległości jakichś 20 cm, z rękami opartemi na biodrach i z głową trzymaną całkiem prosto, opadać ciężarem ciała wprzód i do tyłu raz na jedną, to znów na drugą nogę. Ważnem jest, by przy tem ćwiczeniu nigdy nie odrywać całej stopy od podłogi.

4. Do tego ćwiczenia należy użyć pomocy krzesła. Stanąwszy przy tym pomocniczym sprzęcie w wymierzonej własną nogą odległości, szerokim ruchem i bez zginania nogi w kolanie przenosić nogę wyprostowaną z pozycji stojącej na krzesło i z powrotem na podłogę. Następnie to samo ćwiczenie wykonać drugą nogą, zawsze trzymając ręce na biodrach i elastycznie pochylając tułów i głowę. Ważne tutaj jest, ażeby nie zginać w kolanie ani tej nogi, którą stawiamy na krześle, ani tej, którą stoimy na podłodze.

5. Stanąwszy, również z rękami na biodrach i z wyprostowaną szyją, ugiąć nogi w kolanach, a następnie ćwiczyć ruch stopami możliwie najbardziej na zewnątrz, a następnie możliwie najbardziej na wewnątrz. Potem zaś okręcać się w prawo i w lewo całem ciałem, jak się tylko da, bez odrywania stóp od podłogi.

6. Silnie przegiąć się w kolanach z piersią wysuniętą naprzód, z rękami opartemi na biodrach a łokciami do tyłu, rozstawić stopy mniejwięcej na odległość 10 cm i wykonywać podskoki w górę, opadając w to samo miejsce. Należy zwrócić przytem uwagę, by opadać zawsze naprzód na palce nóg, a potem dopiero na piętę.

Przy wszystkich tych ćwiczeniach zważać należy, by nigdy się nie przemęczać i zaprzestać ćwiczenia odrazu, gdy poczuje się zmęczenie czy ból.

Zaprawiwszy się w ciągu kilku tygodni w ten sposób, można śmiało wyjechać w pocżję zimy górskiej i tam oddać się białemu szaleństwu z pełnią przeświadczenia, że rozkosz nart wypije się aż do dna.

z.

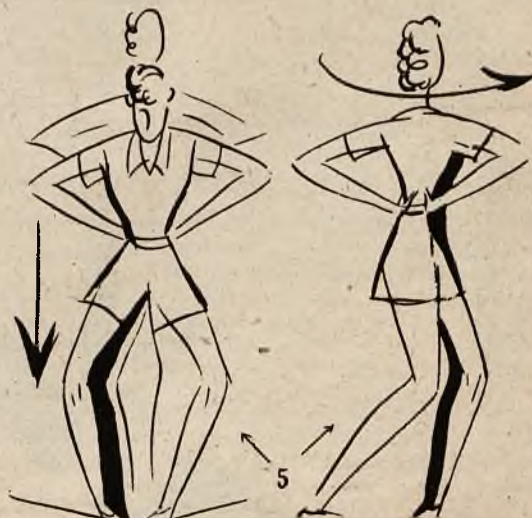












Strój domowy



Już parokrotnie zwracaliśmy Czytelnikom naszych „Łamigłówek mody męskiej" uwagę na to, że strój domowy bynajmniej nie jest przeznaczony na użytek wyłącznie wewnętrzny, powiedzmy rodzinny, lecz coraz częściej widzimy go w okolicznościach, które dawniej dopuszczały użycie tylko normalnego ubrania codziennego, lub nawet jednej z odmian stroju reprezentacyjnego.

Obecnie przychodzi nam zanotować szereg ciekawych przykładów z życia nowej odmiany naszych strojów domowych, przykładów, które wypływają może z panujących dziś tendencyj ogólnych mody zarówno męskiej, jak i kobiecej, choć ta ostatnia, jeśli chodzi o strój specyficznie domowy, pozostała konserwatywną w całem tego słowa znaczeniu. Te tendencje wyrabiają w nas pragnienie wprowadzenia jak największej swobody do ubrań nietylko sportowych, które już ze względu na swój charakter i przeznaczenie takiej swobody wymagają, lecz również w coraz szerszym zakresie do strojów, w jakich wychodzimy na ulicę, a nawet tych, które zdobią nas podczas wieczoru w teatrze, na dancingu, w klubie itd.

Jeszcze nie tak dawno temu smoking dwurzędowy, noszony bez kamizelki, z kołnierzykiem wykładanym i półsztywną, a nawet miękką koszulą, stanowił strój, w którym pojawienie się uważane było za shocking. Potępiono go, zanim jeszcze zdążył się wprowadzić i uznano za przejaw brutalnej, nie liczącej się z estetyką, mody Nowego Świata. Tymczasem dziś ten rodzaj wieczorowego stroju nikogo więcej nie razi — przeciwnie został przyjęty jako pożyteczna inowacja.

To samo, nawet w znacznie szerszym zakresie, odnosi się, rzecz prosta, do strojów domowych, które przecież istnieją po to tylko, by nam tej swobody dostarczyć jak najwięcej. Minęły już czasy, w których przyjęcie wizyty dobrych znajomych, bez uprzedniego z ich strony zapowiedzenia się, wytwarzało dla gospodarza sytuację kłopotliwą, połączoną z koniecznością ubierania się na gwałt i pozostawienia przybyłych samym sobie przez czas dłuższy. Dziś taka sytuacja wogóle nie istnieje, bo pan domu wita swych dobrych znajomych w stroju domowym, o ile, rzecz prosta, posiada go w odpowiedniem wydaniu. I tu



Powyżej na prawo:
W sezonie zimowym nosimy chętnie dwurzędowe szlafroki, które szczególnie ranną porą, gdy jeszcze nie mamy na sobie kamizelki, chronią nas skuteczniej przed zimnem...

Poniżej:
W dobrze ogrzanych mieszkaniach posługiwać się możemy cienką flanelą, lub nawet jedwabiem jako materjałami na efektowne szlafroki i bonżurki...



nabiera charak- -teru towarzyskiego



Poniżej na lewo:
Strój domowy, który ma nam dać jaknajwięcej swobody, nie uznaje kołnierzy i krawatów. W ich miejsce zawiązujemy wzorem szali i chustek barwne fulary...



dochodzimy do rzeczy może najważniejszej: Nasz strój domowy powinien odznaczać się nienagannym wyglądem.

Tak — moi panowie! zapamiętajcie to sobie, że wasz szlafrok czy bonżurka muszą być kreacjami mody, a nie produktami krawcowej, sprowadzonej do domu w celu ponaprawiania zniszczonej bielizny. Nie znaczy to, by trzeba było a limine odrzucać wyroby konfekcyjne, które właśnie w zakresie strojów domowych często wykazują dobry smak i wielką różnorodność. Tylko, że niemal w każdym wypadku jesteśmy zmuszeni poprawiać krój i dostosowywać wymiary konfekcyjnego szlafroka czy bonżurki, a to się mniej opłaca, niż zdecydowanie się odrazu na oddanie całej roboty dobremu krawcowi. W tym ostatnim bowiem wypadku posiadamy zupełną swobodę wyboru fasonu, materjału i tych wszystkich dodatków, które zdobiąc strój domowy, nadają mu charakter mniej intymny, a więcej reprezentacyjny.

Kogo stać na to, ten postara się napewno o odpowiednią różnorodność i w tej dziedzinie swej garderoby. Wówczas nie zajdzie potrzeba kłopotania się, co ubrać na frak czy smoking w chwili, gdy się wróciło do domu późnym wieczorem w towarzystwie i trzeba odegrać nie tylko rolę pana domu, ale i gospodarza, który nie waha się sam przyrządzić w kuchni np. odpodniego sosu do zimnego bufetu, zastawionego na poczekaniu dla miłych, ale niespodziewanych gości. Zwykły flanelowy szlafrok ranny w żywych kolorach i o śmiałym deseniu nie znajdzie tu zastosowania. Oglądniemy się wówczas za czemś bardziej odpowiedniem i wybierzemy stonowaną ciemną bonżurkę (choć to noc) z cienkiej wełny jeśli zima, a latem z jedwabiu. I szlafrok z tych materjałów będzie tu równie stosownym strojem.

Brummel.

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

SOS KORNISZONOWY. Kilka korniszonów kraje się drobno i gotuje w rosole z kości. Z łyżki masła i 2 łyżek mąki sporządza się zasmażkę, zalewa odrobiną zimnego rosołu. potem rozprowadza smakiem z pod korniszonów, zagotowuje, dodaje korniszny, troszkę cukru i w razie potrzeby soli. Chcąc mieć sos ciemniejszy, dodaje się łyżkę karmelu z uprażonego na ogniu cukru. Sos ten podaje się do sztuki mięsa lub kotletów ziemniaczanych.

SZPINAK PO FRANCUSKU. Obrany i dobrze wypłukany szpinak, gotuje się w słonej wodzie, nie przykrywając go, dla zachowania koloru. Łyżkę masła uciera się z paru przez sito przetartemi, twardemi żółtkami, dodaje posiekany dokładnie szpinak. zaprawia go odrobiną roztartego czosnku, szczyptą cukru i białego pieprzu, popruszа łyżką tartej bułki i zagotowuje, przyczem dolewa się potrosze pół szklanki słodkiej śmietanki. Po wyłożeniu na półmisek okłada się szpinak usmażonemi mleczkami cielęcemi.

MLECZKA CIELĘCE DO SZPINAKU. Kilka mleczek, odciętych od mostków cielęcych, sławia się na pół godziny pod wodę płynącą z kranu, aby dobrze zbielały. Następnie parzy się je wrzącą wodą parę razy, poczem gotuje się je w słonej wodzie przez 25 minut. Wyjęte z wody i osuszone kraje się je w plastry (z każdego mleczka można wyciąć 2—3 plastry), panieruje w jajku i bułeczce, zmieszanej pół na pół z mąką i smaży na maśle do złotego koloru.

PILAW TURECKI. Prawdziwy pilaw musi być robiony z baraniny i to dość tłustej. Ponieważ w naszych kuchniach tłusta baranina nie jest lubiana, a pilaw wymaga sporo tłuszczu, musi się go zastąpić innym, np. masłem lub sadłem. Sposób przyrządzania jest następujący: 25 dkg ryżu wypłukanego zalewa się wrzącą wodą, pozostawia w niej przez pół godziny, następnie osącza na sicie. 75 dkg mięsa baraniego kraje się w plastry, soli każdy kawałek i posypuje papryką. Do ryneczki. natartej masłem, daje się warstwę ryżu, następnie warstwę mięsa, którą się posypuje drobno siekaną cebulą i polewa tłuszczem, potem daje się drugą warstwę ryżu itd., aż wszystko wyjdzie. Ostatnią warstwę stanowić ma ryż. Całość polewa się dwoma szklankami rosołu, w którym rozpuszczono 2—3 łyżek gęstej marmolady pomidorowej i wstawia przykryte do gorącego piecyka na dwie godziny. Ilość rosołu powinna wystarczyć, należy jednak kontrolować wśród pieczenia i o ile ryż jest twardy i suchy, dolać jeszcze pół szklanki rosołu, ostrożnie jednak, aby potrawa nie była za wilgotna.

SAŁATA WŁOSKA. Prócz majonezu, utartego z 2 żółtek i 1/4 litra oliwy, potrzebne są do tej doskonałej sałaty następujące dodatki: 20 dkg jakiejkolwiek duszonej pieczeni, pokrajanej w drobną kostkę, parę gotowanych ziemniaków sałatowych, 2—3 buraczków, główkę selera, trochę groszku zielonego, fasolki, wszystko oczywiście ugotowane; małe, kwaśne jabłko i ogórek lub korniszon nadają się również do tej sałaty. Wszystko drobno skrajane miesza się z majonezem i sosem z pod pieczeni, dodaje octu lub soku cytrynowego, soli i cukru oraz pieprzu białego. Do gotowej, dobrze wymieszanej sałatki, wkłada się skórkę chleba, natartą czosnkiem i pozostawia w niej przez godzinę, poczem się ją odrzuca. Sałatkę ubiera się po wierzchu twardemi jajami, pomidorami, zieloną pietruszką itp.

TORT CYGAŃSKI. 20 dkg cukru i 7 żółtek uciera się na pianę, następnie dodaje się po 6 dkg: rozmiękczonej w cieple czekolady, posiekanych orzechów, skórek pomarańczowych i rodzynek bezpestkowych. Po wymieszaniu z dodatkami, wmieszać należy ostrożnie tęgą pianę, ubitą z 7 białek. przesypując tartą bułką w ilości 2 łyżek stołowych. Po upieczeniu i ostudzeniu oblewa się tort polewą czekoladową i posypuje tartemi orzechami.

BISZKOPT Z JAJEK. Z 7 białek ubija się tęgą pianę, poczem dosypuje się potrosze. ubijając 20 dkg cukru, aż się utworzy gęsta cukrowa piana, do której wciska się sok z połówki cytryny i wciera skórkę dla aromatu. Dwie szklanki mąki przesiewa się i miesza z różnemi, drobno pokrajanemi bakaljami w dowolnej ilości, dodaje do piany i piecze w formie natartej masłem i wysypanej sypką mąką.

KONIAK JAJECZNY (posilający). 30 dkg cukru pudru. 3/4 szklanki wody i 5 żółtek ubija się na parze na gęsty krem. Do ostudzonego dolewa się 3/8 litra najlepszego spirytusu, miesza dokładnie i zlewa do flaszki. Zakorkowana flaszka stać powinna w ciemnem miejscu przez kilka tygodni przed użyciem.

NADZIANKA Z JABŁEK. Ulepszoną odmianą strudla jabłkowego będzie pokrycie ciasta przed posypaniem go jabłkami następującym kremem: 8 dkg masła utrzeć z 4 żółtkami i 16 dkg cukru, dodać 1/4 l śmietany, wkońcu domieszać lekko pianę z trzech białek.

Sc Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Jakże często, zwłaszcza w mniejszych mieszkaniach, gdzie jeden i ten sam pokój służy do różnych celów, odczuwa się potrzebę odświeżenia powietrza, co szczególnie w zimie, niezawsze jest łatwem. Obok uwidoczniony przyrząd, zwany „rotognomen", służy do rozpylania pachnących esencyj, czyniących powietrze miłem i zdrowszem. Uruchomienie wspomnianego aparatu jest nader proste, gdyż służy do tego baterja lampki kieszonkowej.

Presse-Photo — Berlin.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 48 — **Listopad** — 30 dni

NIEDZIELA 21 Ofiarow. NPM.	Bulion z jajem. Mleczka cielęce na szpinaku. Kura z rosołu w sosie chrzanowym z kluseczkami francuskiemi. Kompot mieszany. Tort cygański. Kolacja: Szynka z sosem tatarskim.
PONIEDZ. 22 Cecylji	Zupa wątrobiana z grzankami. Brukselka z masłem rumianem. Pilaw turecki z ryżem. Pierożki z serem. Kolacja: Włoska sałata.
WTOREK 23 Klemensa	Zupa fasolkowa purée z grzankami. Salsefia /czarny korzeń/ w sosie holenderskim. Comber zajęczy z buraczkami. Buchtle z konfiturami. Kolacja: Pasztet zajęczy na ciepło.
ŚRODA 24 Emilji, Jana od K.	Zupa z włoskiej kapusty na śmietanie. Płatki z kapustą. Rozbratle duszone w maszynce. Gruszki w kremie. Kolacja: Kotlety ziemniaczane z sosem korniszonowym.
CZWARTEK 25 Katarzyny	Rosół z makaronem. Fasolka na kwaśno z grzankami. Paprykarz cielęcy z tartemi ziemniaczkami. Biszkopt z białek. Kolacja: Naleśniki z mięsem.
PIĄTEK 26 Konrada	Barszcz zabielany z twardem jajem. Serowe knedelki z rumianem masłem. Dorsz w sosie sardelowym z makaronem. Kruchy placek z jabłkami. Kolacja: Marynowany śledź, pieczone ziemniaczki.
SOBOTA 27 Wirgiljusza	Zupa grochowa z grzankami. Selery faszerowane. Kotlety wieprzowe w kapuście duszone. Omlety z konfiturami. Kolacja: Galaretka z główki wieprzowej.

HOCKI-KLOCKI

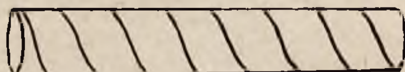
POMYSŁOWY KUCHARZ.



— Ten Staś, to niezrównany kucharz! Codzień znajduje inną nazwę dla tej samej zupy. *(„Ric et Rac")*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

DŁUGOŚĆ SZNURKA.



Sznurek jest obwinięty symetrycznie na okrągłym walcu, tak jak to wskazuje rysunek. Obwód walca wynosi 2 cm, jego długość 11 1/4 cm.

Jaka jest długość sznurka?

SZKLANKA Z WODĄ.

W szklance znajduje się woda — mniej-więcej pół szklanki. Chcecie się przekonać czy szklanka jest wypełniona wodą dokładnie do połowy, czy też wody jest mniej lub więcej niż pół. Nie macie jednak żadnego narzędzia do mierzenia wysokości wody. W jaki sposób możecie się przekonać czy szklanka jest wypełniona wodą równo do połowy?

Rozwiązania z Nru 46-go.

RODZINA.

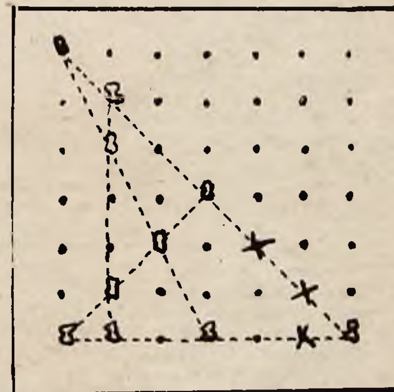
Pan Kowalczuk miał sześć córek i jednego syna; razem siedmioro dzieci.

STYPENDJUM.

Doczek dostał stypendjum. Suma jego stopni wynosi 83. Alfred dostał 63, Bolek 41, Cyryl 56, Edek 57.

PIONKI.

Rysunek wskazuje, w jaki sposób należy przesunąć trzy pionki, tak aby dziesięć pionków tworzyło pięć szeregów z czterema pionkami w każdym.



MAŁA POMYŁKA.



— Nie, proszę pana, garaż jest obok! *(„Ric et Rac")*

NIESAMOWITY GOŚĆ.



Służący: — Proszę pani, właśnie przybył hinduski magik! *(„Ric et Rac")*

Dokończenie z str. 17-ej.

liczącą kilka tysięcy kilometrów, przewagę stanowią ci, których cel podróży kończy się na piątej, szóstej stacji. Na takich lokalnych odcinkach wszyscy się znają, a i z konduktorem są per „amigo", tj. w przyjacielskich stosunkach.

Tu rzadko kto płaci za całą podróż, chyba jaki nowicjusz. Zwykle pasażer zaopatruje się w bilet do najbliższej stacji, potem daje konduktorowi „w łapę" i wysiada, gdzie chce.

Ale czasem zdarza się, że do pociągu wsiądzie kontroler, wówczas w wagonach zjawia się konduktor, oznajmiając:

— Senhores, w pociągu jest kontroler, zróbcie składkę! — i wkrótce delegat u wejścia do wagonu radośnie wita kontrolera, który stwierdziwszy, że wszystko w porządku, idzie dalej pełnić swe trudne i żmudne obowiązki.

A potem w Rio de Janeiro dziwią się, że kolej to przedsiębiorstwo mało dochodowe. Jak dla kogo.....

Nie na wszystkich linjach zresztą jest tak sielankowo. Im bliżej stolicy, tem oczywiście i porządek większy. W bogatych okolicach Sao Paulo pociągi, łączące to miasto z Rio, są zaopatrzone w sleepingi i wozy restauracyjne.

W „interiorze" zaś, tj. w głębi kraju, jest nieco inaczej. Pociąg, po całonocnej podróży zatrzymuje się na śniadanie, obiad czy kolację, wszyscy wychodzą do pobliskiej restauracji, zjadają spokojnie obfity posiłek i jazda dalej.

W niektórych miejscowościach pociąg nawet nocuje (t. zn. pociąg nocuje na stacji, a pasażerowie w hotelach).

To się nazywa popieranie przemysłu hotelarsko-restauracyjnego, czuję, że polskie organizacje wystąpią z wnioskiem do PKP o podobne zarządzenia na kolejach.

Punktualność pociągów jest bardzo problematyczna. Ilustracją niech będzie następujący fakt.

Konsul R. P. w towarzystwie paru osób po wizytacji kolonij polskich wracał konno na stację Iraty, skąd miał koleją powrócić do Kurytyby.

Przez Iraty przechodzi raz na dobę pociąg, idący hen, aż z Porto Alegre z południowych kresów Brazylji. O godzinie 15-tej powinien, według rozkładu jazdy, odejść do Kurytyby.

Jest właśnie godz. 14.30, a kawalkada konsulowska znajduje się jeszcze w odległości jakich 15 km. od stacji.

Konsul się niecierpliwi (niedawno bawi w Ameryce Południowej, więc nie wie, że tu się niczem nigdy przejmować nie należy).

— Spóźnimy się i trzeba będzie w tej mieścinie czekać 24 godziny!

— Eee, chyba jeszcze zdążymy — pocieszają spokojnie tubylcy (raczej tambylcy).

Zdaleka widać, że na stacji pusto.

— Widzicie! pociąg odszedł! — martwi się konsul. Istotnie powinien był odejść już 3 kwadranse temu. Podjeżdżamy bliżej.

— Panie naczelniku, kiedy odchodzi pociąg do Kurytyby?

Władza napusza się i pyta:

— A który? Dzisiejszy?

— No, naturalnie, bo chyba się i dziś spóźnił.

— Si, senhor, dzisiejszy pociąg odejdzie za pięć godzin.

— No i widzi pan, panie konsulu, mamy jeszcze czas na obiad i odpoczynek.

Całe towarzystwo idzie do pobliskiej restauracyjki. Ledwie się skończył obiad, a tu patrzą: na stację wjeżdża oczekiwany dopiero za 4 godziny pociąg.

Szybko się zebrali, pędzą na stację i odrazu z pretensją do władzy, że źle informuje.

— Czego pan nas w błąd wprowadza? Coby to było, gdybyśmy tak chcieli przespać te 5 godzin?!

— Jakto w błąd? — oburza się władza, nie wiem, czy zawsze tak ścisła w odpowiedziach — panowie się pytali o pociąg dzisiejszy, a ten jest.... wczorajszy!!!

Do niedawna tak się podróżowało po wszystkich prawie linjach w interjorze, dziś jest znacznie lepiej, ale dużo wody w Iguassu upłynie, zanim kraj ten zszablonizuje się zupełnie na wzór Europy lub USA.

Nieduże wagoniki na torach wyższych niż nasze, pzebiegają olbrzymie przestrzenie, nie, słychanie różniące się klimatem, roślinnością i rzeźbą terenu. Zarówno jednak rozległe stepy, jak i najpiękniejsza w Brazylji, a jedna z najpiękniejszych na świecie droga kolejowa przez Góry Morskie (Serra do Mar) pozostawiają miłe, przyjemne wspomnienia pięknej, gościnnej i sympatycznej Brazylji, krainy wielkich możliwości i napewno wspaniałej przyszłości.

Stefan Łoś.

To warto poznać..

NA SCENIE.

WARSZAWA. Teatr Narodowy zawarł w jednym wieczorze dwie komedje Fredry: „Pana Beneta" i „Dożywocie". W pierwszej z nich wystąpił Stanisławski (Benet), który dał istny koncert gry. Może on służyć za wzór mówienia wiersza Fredry. Wybornym jego partnerem był Brydziński. Wdzięczną parę młodych stworzyli pp Wasiutyńska i Łuszczewski. Reżyserował Stanisławski.

W „Dożywociu" rolę Łatki kreował nieprześcigniony Solski: jest to, jak się wyraził słusznie jeden z recenzentów „postać historyczna". Obok niego należy wymienić Leszczyńskiego jako Birbanckiego, pozatem Fritschego, Zelwerowicza. Już to wyliczenie nazwisk mówi o staranności w doborze wykonawców; nawet pomniejsze role odgrywali świetni wykonawcy. Reżyserował Solski.

Wielki sukces odniosła sztuka Zygmunta Nowakowskiego pt. „Gałązka rozmarynu", wystawiona z ogromną starannością przez Węgierkę w Teatrze Polskim. — Oto sztuka, której było potrzeba — powiedział o niej Boy-Żeleński. Istotnie, Nowakowski zdołał stworzyć dzieło, odtwarzające historyczne wydarzenia, związane z wymarszem legjonów w roku 1914, a potem walki na froncie — bez wpadania w patos lub konwencjonalną deklamację. Świetny autor dał widowisko pełne życia i werwy, rozbrzmiewające humorem i dowcipem, a owiane głębo ki sentymentem.

Jeśli idzie o wykonawców trzebaby wyliczyć cały zespół.

W „Teatrze Małym" wystawiono nową sztukę autorki „Sprawy Moniki" pt. „Walący się dom". Jest to obraz dworu polskiego, ukazany we wklęsłem zwierciadle. Autorka nie szczędziła ciemnych barw w malowaniu środowiska. Trzeba jej przyznać umiejętność w zarysowaniu poszczególnych figur.

Samborski grał rolę „mamuta", starego Rakuskiego, tyranizującego otoczenie, aż wreszcie wpadającego w sidła własnej pielęgniarki. Inne role wykonali pp. Malynickówna, Ziembiński, Buszyński, Niczewska, Borowska.

KRAKÓW. Prawie równocześnie z warszawską premjerą „Walącego się domu" Teatr im. Słowackiego wystawił ten utwór w Krakowie. Rola starego Rakuskiego przypadła Fabisiakowi. Burnatowicz grał z humorem „młodego" (czterdziestoletniego) Janka. Jego siostrami były pp. Suchecka i Bednarska. Rezonującym wujem — p. Macherski, pielęgniarką — p. Bielska, narzeczoną Janka — p. Niedziałkowska.

BYDGOSZCZ. Bardzo staranną oprawę sceniczną otrzymała sztuka Tadeusza Konczyńskiego pt. „Emilja Plater", będąca dalszym ciągiem cyklu dramatycznego, na który złożył się „Demostenes" i „Marja Leszczyńska".

Autor ukazuje zwycięską walkę Emilji Plater z nieufnością przywódców powstania, jej ofiarność dla Sprawy i wiarę w słuszność walki z przemocą.

W roli tytułowej wystąpiła p. Jabłonowska, dając postać bardzo przekonywującą. Z innych wykonawców trzeba wymienić: pp. Serwińskiego (gen. rosyjski), Podgórską (Podkomorzyna), Kierczyńskiego (kpt. rosyjski) i Dytrycha (Gielgud). Reżyserja p. Nuny Młodziejewskiej-Szczurkiewiczowej. Dekoracje i kostjumy p. Hawryłkiewicza. **J. J.**

NOWE KSIĄŻKI.

„KAMIENIE NA SZANIEC" K. KOŹMIŃSKIEGO.

Tytuł książki nawiązuje do wiersza Słowackiego: „Niech żywi nie tracą nadziei... a kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec". Autor zebrał 12 życiorysów bohaterów, poległych w ostatnich bojach o niepodległość. Praca ta jest — jak powiada p. Koźmiński — „drobnym fragmentem wielkiej jakiejś całości", nie wyczerpuje ani trochę długiej listy tych, co zginęli na polu chwały.

Słowem żywem i barwnem autor wskrzesza sylwetki żołnierzy zarówno z I. Brygady, jak i z innych brygad, czy też formacyj, czy wreszcie tworzonej we Francji armji polskiej. Przewijają się przed naszemi oczyma postacie: Stanisława Króla - Kaszubskiego, powieszonego przez kozaków, Franciszka Pększyc Grudzińskiego, co zginął pod Mołdiborzycami, — pierwszego adjutanta Komendanta, Tadeusza Żulińskiego Barskiego, co tworzył wojsko polskie w Warszawie, a poległ pod Kamieniuchą.

Dalej pisze autor o Tadeuszu Wyrwie Furgalskim, który był „radością i dumą I. Brygady", o Michale Sułkiewiczu, który zginął w starciu pod Sitowiczami; o pułkowniku Mościckim, co nie doszedł z Rosji do wolnej Polski, ginąc podczas przedzierania się do kraju, otoczony przez bolszewików. Nie dotarł również do Polski rtm. Bron. Romer... „Ukochany dhłopak Komendanta", Leopold Lis Kula przeszedł szczęśliwie przez boje legjonowe. jak również walki nad Piavą we Włoszech, dopiero dosięgła go pod Torczynem kula ukraińska. **J. J.**



Niedziela — dn. 21. XI.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej w Łodzi.
10.30 Budujemy Bazylikę Morską w Gdyni. Audycja z Gdyni.
11.00 Lekki koncert solistek (płyty)
12.03 Poranek symfoniczny (z Łodzi).
13.10 Fragment z „Ziemi Obiecanej" Wł. St. Reymonta — recytacje prozy.
13.30 Muzyka obiadowa (ze Lwowa)
14.45 Audycja dla wsi.
15.45 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci.
16.05 Utwory Antoniego Rubinsteina.
16.45 „Anielcia i życie" — powieść mówiona.
17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie".
18.50 Komedje XIX wieku: Zygmunt Sarnecki „Nad ranem".
19.35 „Słynni wirtuozi" (VI audycja).
21.15 „Kabaret artystyczny".
22.00 Koncert wieczorny (z Krakowa).

Poniedziałek, — dn. 22. XI.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 „Od warsztatu do warsztatu": „Rozmowa z modystką".
15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Koncert solistów.
17.00 „Walka z cukrzycą" — odczyt.
17.15 „Odgłosy dalekiej Japonji" — audycja słowno-muzyczna.
18.10 „Cyganie grają..." (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 „Dyskutujmy: „Kapitał czy przedsiębiorczość".
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.50 „Arcydzieła muzyki symfonicznej" — III audycja.

Wtorek — dn. 23. XI.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Utwory Emanuella Chabriera (płyty).
15.45 „Zagadki historyczne dla dzieci starszych.
16.15 Trio salonowe Polskiego Radja.
17.00 „Jesteśmy w Bułgarji" — odczyt.
17.15 Nieznane u nas pieśni.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Nieśmiertelne książki" wieczór IV „Eneida".
19.30 „Polska twórczość chóralna" — II audycja.
20.00 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
21.00 Koncert symfoniczny.
22.00 Recital skrzypcowy Emila Telmanyi'ego.

Środa — dn. 24. XI.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Miniatury instrumentalne — (płyty).
15.45 Krzysztof Kolumb — pogadanka.
16.00 „Uczmy się mówić".
16.15 Łódzka orkiestra salonowa — pod dyr. T. Rydera.
17.00 „Elektryfikacja Niemiec z punktu widzenia ich obronności" — odczyt.
17.15 Recital wiolonczelowy Alfrema Kinkulkina.
17.50 Higjena wieku szkolnego — pogadanka.
18.10 Romanse (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Testament wodza" — scena z książki.
19.20 Pieśni w wykonaniu Elwiny Orlicz-Dreszerowej.
19.35 Człowiek jako aktor w życiu — odczyt.
20.00 Tańce wokalne — piosenki instrumentalne (płyty).
21.00 Koncert chopinowski.
21.45 Piękno mowy polskiej — kwadrans poezji.
22.00 Koncert: „Szeherezada" — M. Rimskij-Korsakowa.

Czwartek — dn. 25. XI.

6.15 Audycja poranna.
11.15 „Sonata", poranek muzyczny dla liceów.
11.40 Śpiewa Tito Schipa — tenor płyty.
15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą.
16.15 Muzyka rozrywkowa.
16.45 Audycja w 75-lecie Szkoły Głównej.
19.00 Słuchowisko „Śmierć Komedjanta".
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.45 „O rozmowie" — szkic literacki.
22.00 Koncert kameralny.

Piątek — dn. 26. XI.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Utwory Kamilla Saint-Sansa.
15.45 „Jak pracują nasze mamy": „Lekarka".
16.15 Orkiestra reprezentacyjna Policji Państwowej.
17.15 Recital skrzypcowy Stanisława Mikuszewskiego.
18.10 Przeboje z filmu „Zatańczymy" (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Słuchowisko „Romanowa", według Orzeszkowej.
19.30 Mieczysław Fogg śpiewa piosenki.
20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.

Sobota — dn. 27. XI.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Serenady z płyt.
15.45 Słuchowisko dla dzieci — „O Syrenie, która chciała być człowiekiem".
16.15 Polska Kapela Ludowa — F. Dzierżanowskiego.
17.00 „Artur Grottger" — opowieść biograficzna.
17.15 „Od Aten do Bayreuth" — migawki z dziejów opery.
18.15 Orkiestra Alfreda Campoli'ego (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.45 „Przyjaciel Przekładańskiego" — skecz.
22.00 Koncert popularny.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.